

Rok XXVIII

Nr e-90 (286)

Kwiecień 2014

NA SZLAKU

Turystyka - Krajoznawstwo - Góry

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego



Z NASZEGO REGIONU

Spichlerz w Galowicach – inny świat w zasięgu ręki	<i>Urszula Żebrowska-Kacprzak</i>	3
Dwór w Goli przywrócony do życia	<i>Krzysztof R. Mazurski</i>	6
Śladami św. Jadwigi (3)	<i>Jerzy Maciejewski</i>	7
Muzeum Przemysłu i Kolejnictwa na Śląsku	<i>LOT „Księstwo Świdnicko-Jaworskie”</i>	10
Kudowskie atrakcje	<i>Małgorzata Żulińska</i>	11
Modernistyczny kościół – niedoceniana perełka Wrocławia	<i>Krzysztof R. Mazurski</i>	12

OJCZYSTE SZLAKI

Dar szczególny i wspaniały (4)	<i>Kazimierz Denek</i>	14
Lubań	<i>Juliusz Wystouch</i>	17
Tatry – reportaż z podróży (3)	<i>Michał Ciastoń</i>	19
O ormiańskich chaczkarach – raz jeszcze	<i>Janusz Zaremba</i>	21

TRASA MIESIĄCA

Via Regia z Kamieńca do Kinsporka	<i>Krzysztof Tęcza</i>	24
---------------------------------------------	----------------------------------	----

GLOBTROTER

Peczerska Ławra	<i>Janusz Fuksa</i>	27
Kraj nad Nilem – podróż życia	<i>Patrycja Wieleba</i>	29
Santo Antão – raj turystyki aktywnej	<i>Krzysztof R. Mazurski</i>	31

Z TURYSTYCZNYCH KRĘGÓW

Rocznik jeleniogórski ma już pięćdziesiąt lat	<i>Krzysztof Tęcza</i>	33
Miłośnicy Łuzyc w Żarach zjednoczyli się	<i>Józef Tarniowy</i>	34
Spotkanie w Muzyku	<i>Redakcja</i>	35
Wystawa na jubileusz Kowar	<i>Zbigniew Piepiora</i>	36
W Mokrzeszowie wybrano KTG ZG PTTK	<i>Krzysztof Tęcza</i>	36
„Przyjście wiosny”	<i>Jan Brzechwa</i>	37

PORADNIK TURYSTY

Nie wszystko złoto, nie wszystko co nowe...	<i>Juliusz Wystouch</i>	38
-------------------------------------------------------	-----------------------------------	----

NA KOLEKCJONERSKIM SZLAKU

Jadeitowy Pakal	<i>Sobiesław Mazurski</i>	40
---------------------------	-------------------------------------	----

SYLWETKI „NA SZLAKU”

Wspomnienie o Zbigniewie Szarku	<i>Zbigniew Piepiora</i>	41
-------------------------------------------	------------------------------------	----

RECENZJE, NOWOŚCI

Inne spojrzenie na książkę o Tadeuszu Steciu	<i>Jerzy K. Bieńkowski</i>	43
Spojrzenie na spojrzenie	<i>Stanisław Jan Jawor</i>	44
Mineralogia dla dzieci	<i>Krzysztof R. Mazurski</i>	44
Jeleniogórski krajobraz	<i>K.R.M.</i>	45
Greckie dzieci w Polsce	<i>Krzysztof R. Mazurski</i>	45
Sudeckie schroniska	<i>Krzysztof R. Mazurski</i>	46

Na okładce: Zachodnia część wyspy Santo Antão w Republice Zielonego Przylądka z Topo de Coroa w tle. Fot. Krzysztof R. Mazurski

Spichlerz w Galowicach – inny świat w zasięgu ręki

Jeśli ktoś nie słyszał jeszcze o Muzeum Powozów Galowice koło Wrocławia (a takich osób jest zapewne sporo, bo miejsce jest dość nowe, patrząc w kategoriach muzealnych), to ten artykuł na pewno go zadziwi. Prawdopodobnie niektórzy chcą zrezygnować z dalszego czytania, bo cóż może być fascynującego w jakimś muzeum powozów. Samo słowo „muzeum” już brzmi niepokojąco – stają nam przed oczami zakurzone przedmioty, które są wybitnie nieciekawe, ale wypada je znać, jeśli chcemy uchodzić za osoby posiadające tzw. wiedzę ogólną. A tu jeszcze „powozy”! Czyli co? Kilka starych, zmurzałych drewnianych fur, które kiedyś jeździły na wsi i zostały na nich jeszcze małe kurze piórka i kawałki siana? **Przestawmy swoje myślenie o placówkach muzealnych, a do Galowic wybierzmy się nie dlatego, że kulturalny obowiązek tak nakazuje, ale po to, aby spędzić miły dzień i obejrzeć coś autentycznie interesującego.**



PIĘKNIE

Muzeum Powozów Galowice położone jest tylko około 10 km na południe od granicy Wrocławia, ale okazuje się, że już taka odległość od dużego miasta wystarczy, aby przenieść się w zupełnie inny świat. Zwiedzanie Muzeum Powozów Galowice to nic innego, jak wycieczka w dawne czasy, gdy stukot końskich kopyt po bruku był tak częsty, jak dzisiaj odgłosy silników samochodów. Około siedemdziesiąt historycznych pojazdów – od sań konnych, przez karety i bryczki, po wóz strażacki, kolekcja siodeł kawalerskich, uprzęże i kielzna oraz narzędzia używane przez dawnych rzemieślników to tylko niektóre z dostępnych do oglądania eksponatów. Powozy robią wrażenie, większość jest odrestaurowana, a te, które z pewnych przyczyn pozostały w stanie oryginalnym, również – tak jak pozostałe – są zawsze czyste i szczegółowo opisane. Jeszcze jedna gratka dla fanów estetyki – kolekcja prezentowana jest na trzech piętrach ogromnego budynku zabytkowego spichlerza z początków XVIII w., na powierzchni 1000 m², w teatralnej scenografii, pełnej tajemniczych zakątków, koronkowych zasłonek, rozproszonego światła, stylowych starych dodatków i strojów. Jest nawet sympatyczny manekin – ulubiony towarzysz zdjęć dla wycieczek szkolnych.

SENTYMENTALNIE

Dla miłośników historii i architektury to również miejsce idealne na jednodniowy wypad. Przewodnicy, oprowadzając po ekspozycji, nie zapominają wspominać o dziejowym kontekście miejsca, w którym się znajdują. Goście usłyszą więc na pewno, że muzeum mieści się na terenie dawnych dóbr rodziny von Lieres und Wilkau, w spichlerzu o niesamowitej konstrukcji szkieletowej (według różnych źródeł – pochodzącym z 1730 lub 1727 r.). Budynek ten jest ostatnim, zachowanym na Dolnym Śląsku tak dużym, całkowicie drewnianym

obiektem gospodarczym. W okresie użytkowania jako magazyn zbożowy, na każdej z czterech kondygnacji na powierzchni 1200 m², utrzymywał zboże ważące tysiące ton. Od tego ciężaru drewniane podłogi lekko pokrzywiły się, budynek nieco przechylił, a „zjeżdżalnia na worki”, poprowadzona przez wszystkie kondygnacje, do dzisiaj zachowała drewno wyszlifowane tysiącami zsuwających się, wypełnionych ziarnem „przesyłek”. Kolekcja powozów oraz wyposażenia wsi śląskiej zdaje się więc w naturalny sposób przynależeć do tego miejsca.

EDUKACYJNIE

Na gości muzeum czeka sporo nowej wiedzy i wcześniej nieznannej terminologii powozowo-jeździeckiej. Na szczęście, przekazywanej w sposób ciekawy, okraszanej anegdotami i historiami w dawnych czasów. Dowiemy się, dla przykładu, że na kolekcję składają się m.in. karety, bryczki, omnibusy, wolanty, landolet, lando, milord, victoria, polowiec, sulki, sanie pałacowe. Zobaczymy jednak nie tylko pojazdy zaprzęgowe, bo Muzeum Galowice ukazuje też historię i znaczenie konia w rozwoju transportu oraz narzędzia domowe i rolnicze, stanowiące typowe wyposażenie dawnej śląskiej wsi. Zbiory dopełnia imponująca ilość siodła kawaleryjskich



z całego świata oraz inne akcesoria jeździeckie, przekazane w depozyt przez kolekcjonera z Sobótki Pawła Biczysko. Unikatową ciekawostką stanowi czynna oryginalna, szwajcarska konna kuchnia polowa z 1905 r. z kompletnym wyposażeniem, m.in. w naczynia cynowe.

W Muzeum Powozów prowadzone są dla szkół i przedszkoli zajęcia edukacyjne. Krzewienie wiedzy historycznej, kulturowej, związanej z koniem, transportem, podróżami, regionem dolnośląskim i dawnymi rzemiosłami to główna misja fundacji, do której *nota bene* należy muzeum. Pobyt w placówce i spotkania z przewodnikami, będącymi jednocześnie animatorami kultury i pedagogami, z założenia mają być dla dzieci jak najatrakcyjniejsze, a uczestnicy wyjeżdżać mają nie tylko z wrażeniami estetycznymi, lecz również z dawką ciekawie podanej wiedzy. Czy się to udaje – muszą sprawdzić sami goście, do czego gorąco zachęcam. Dodać jeszcze warto, że lekcje i warsztaty tematyczne są przygotowane w oparciu o podstawy programowe obowiązujące w przedszkolach, szkołach podstawowych i gimnazjalnych.

KULTURALNIE

Muzeum, nie chcąc się ograniczać jedynie ideą atrakcyjnego wystawiennictwa, aspiruje też do miana lokalnego centrum kultury. I, co prawda, znajduje się już w sąsiedniej gminie Żórawina, ale jednak przyciąga do siebie mieszkańców zarówno z Wrocławia, jak i z okolicznych mniejszych i większych miejscowości. Najpewniej dlatego, że w Galowicach organizowane są wydarzenia artystyczne najwyższej próby. Oglądać tam można czasowe wystawy malarstwa, m.in. wrocławskiego ekspresjonisty Zdzisława Nitki, lub rzeźby (np. Stanisława Wysockiego – słynnego autora wrocławskiej „Powodziarki”, obecnie znanego już na całym świecie). Muzeum zaprasza też do zabytkowego mansardowego poddasza na koncerty muzyki dawnej – ostatnio Trio Barokowego, w repertuarze Jean-Philippe Rameau i Jean-Marie Leclaira.

RODZINNIE

W wiosenne i letnie weekendy, gdy tylko aura sprzyja aktywnościom na świeżym powietrzu, organizowane są w muzeum wydarzenia kulturalne i rekreacyjne, szczególnie adresowane do rodzin. Warto wspomnieć weekendową „rodzinną akademię wolnego czasu”, związaną ze sportami nietypowymi, i plenerową wiatę, gdzie znajduje się scena, czyli miejsce spotkań z aktorami, muzykami, teatrykami i minikoncertami dla dzieci. Cały teren zielony jest zresztą ogrodzony i w większości trawiasty, bez krzaków, aby dzieci bawiły się bezpiecznie i były widoczne dla rodziców nawet z daleka. I, co być może zaskakujące, ale dla tych tatusiów,

którzy w weekend lubią wychylić przysłowiowe małe piwko na świeżym powietrzu, jest też do dyspozycji kawiarniany ogródek. Można się napić również kawy czy herbaty, a nawet zjeść pierogi lub żurek, zapewnione – co jest gwarancją smaku – przez zaprzyjaźnione koło gospodyń wiejskich.

Co jakiś czas organizowane są też wydarzenia, zwane „jednodniowym muzeum”. Wierząc, że z każdym eksponatem wiąże się ciekawa historia, pracownicy muzeum przekazują pałeczkę i w tym dniu odwracają role, aby to nie przewodnicy, a goście opowiadali szerszej publiczności historie o cennych i interesujących przedmiotach, które przynieśli z domów.

ŚWIATOWO

Wbrew stereotypowemu skojarzeniu pracownicy muzeum to ekipa młoda, kreatywna i otwarta na wszelkie sugestie gości. Wraz z fundatorem kolekcji deklarują chęć tworzenia placówki na autentycznie europejskim poziomie. I udaje się to – od prozaicznych kwestii, jaką jest czystość i porządek, przez organizację szeregu imprez kulturalnych, po kierowanie oferty nie tylko do przedstawicieli naszego kraju, ale również gości, mówiących w innych językach. Muzealni przewodnicy oprowadzają w kilku popularnych językach obcych, a ekspozycja na stałe zaopatrzona jest w polskie, angielskie, niemieckie i hiszpańskie tabliczki, dotyczące charakterystyk poszczególnych powozów.

FUNDATOR

Fundator kolekcji, dr Tadeusz Kołacz, zawodowo zajmuje się nowymi technologiami, ale z zamiłowania jest – od niedawna już oficjalnie certyfikowanym – rzeczoznawcą w zakresie zabytkowych pojazdów konnych, zaprzęgów i rzędów jeździeckich. To autentyczny Człowiek-Instytucja, bez którego nie moglibyśmy oglądać dzisiaj muzeum, prowadzonego z ogromną pasją i nie mniejszą wiedzą. Co jeszcze bardziej znamienne – prawdopodobnie dziś już nie istniałby budynek zabytkowego spichlerza, który został odrestaurowany tylko dzięki staraniom dra Kołacza. Fundator Muzeum Galowice jest osobą życzliwą i pomocną – m.in. zaprasza w swoje progi członków PTTK na sesje przewodnickie, połączone ze zwiedzaniem ekspozycji.

Kończąc, po prostu zachęcam do wizyty, bo odległość od metropolii nieduża, a świat już zupełnie inny – magiczny, jakby spokojniejszy. Szybka to i przyjemna wycieczka w dawniejsze czasy. Polecam!

Urszula Żebrowska-Kacprzak

XIV Międzynarodowy Rajd Pieszy IVV
“Łużyckie Wędrówki”
w ramach turystycznej imprezy
“3 Dni - 3 Kraje - 3 Wędrówki”
odbędzie się w dniu 25.04.2014r.

Organizator imprezy:
Oddział Łużycki PTSM w Lubaniu
59-800 Lubań, ul. Łużycka 1
tel. 75 721 6580, kom. 604 927 247
szczegółowe informacje na stronie:
www.ptsmkluban.vipserv.org/menu3dni.htm

The advertisement includes several logos: a circular logo for '3 DNI KRAJE WĘDRÓWKI' with a map of the region, a triangular logo for 'PTSM' with a 'P' above it, and a circular logo for 'PTTK' with a compass rose. Three photographs at the bottom show the event's location (a building with flags), a group of hikers in red shirts, and a group of people sitting on the ground in a park-like setting.

Dwór w Goli przywrócony do życia

Bez większego rozgłosu wielki, renesansowy dwór w Goli koło Niemczy (woj. dolnośląskie) znów żyje i przyjmuje mieszkańców. Oto 26 lipca ub. roku zakończono zasadniczą część jego odbudowy, uruchamiając na wysokim poziomie hotel z usługami regeneracyjnymi (tzw. SPA) i restaurację wraz z pomieszczeniami konferencyjnymi.

Niewielka wieś, położona w malowniczym terenie wśród lasów (stąd nazwa) w obrębie Wzgórz Bielańsko-Niemczańskich – fragmentu Przedgórze Sudeckiego, została wzmiankowana już w 1210 r. Jako ośrodek niewielkich dóbr przechodziła z rąk do rąk i swój największy rozwój osiągnęła pod koniec XIX w. Po 1945 r. znacznie się wyludniła, czego przyczyną było położenie z dala od głównych dróg, w tym Wrocław – Ząbkowice Śląskie. Słabo wegetował PGR, który nie był w stanie uchronić od zniszczenia dworu.

Ten jeden z najciekawszych i największych na Śląsku obiektów typu dworskiego powstał w 1580 r., być może na miejscu starszego, znacznie mniejszego. Leopold von Rohrau, zapewne związany z rodem wywodzącym się z Trzcince koło Bogatyni, wznosił renesansową dwukondygnacyjną budowlę o malowniczej bryle – zachowały się resztki sgraffita, na planie kwadratu z wewnętrznym dziedzińcem, na którym rośnie okazała, stuletnia lipa. Pod koniec XVIII w. była ona mocno zniszczona mimo kolejnych przebudów i rozbudów, aż przywrócił ją do życia baron Moritz von Prittwitz-Gaffron. Po zakończeniu ostatniej wojny kwaterowali tu przez pewien czas radzieccy żołnierze, po nich jednak nie znaleziono sposobu na użytkowanie dworu, który zaczął być rozkradany podupadając stopniowo w swojej aż do stanu ruiny. Ukazują to zdjęcia, jakie zamieściliśmy w „Słowniku geografii turystycznej Sudetów” t. 21 A – M. Wkrótce po 2000 r. obiekt został zakupiony przez prywatną firmę i dzięki dużym nakładom finansowym oraz olbrzymiej pracy (nie było dachów, stropów itp.) odzyskał on atrakcyjną sylwetę i luksusowe wnętrza.

Poniżej dworu rozciąga się duży staw, a w lesie – sześć innych, choć mniejszych,



stąd miejsce to zwane jest „Ustronie 7 Stawów”. Sąsiednia Stajna przebudowywana jest na basen z podziemnym przejściem, wykorzystane zostaną także i inne dawne obiekty gospodarcze.

Cieszy, że obok dość znanej już Doliny Pałaców i Ogrodów, obejmującej w Kotlinie Jeleniogórskiej liczny zespół rezydencji, powstaje w pobliżu Wrocławia inny, choć na razie bez nazwy. Zapoczątkował go także renesansowo-barokowy dwór w Krobielowicach, potem w Ślęzie, Kietlinie i dalsze. Może powstanie Wrocławski Pierścień Pałacowy?

Krzysztof R. Mazurski

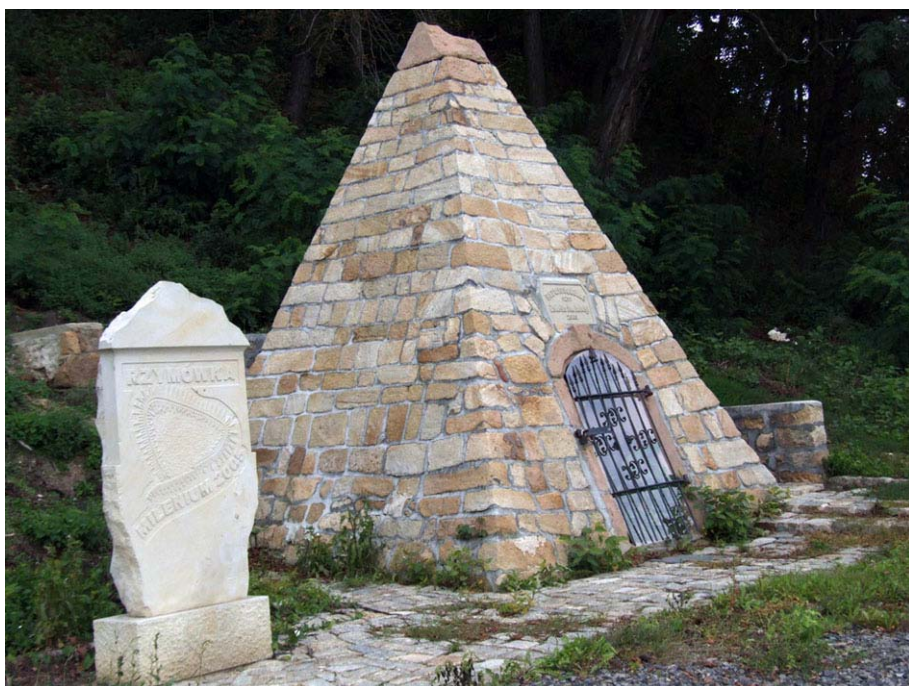
Śladami św. Jadwigi (3)

RZYMÓWKA

Źródło św. Jadwigi – jego obudowa - ma kształt kamiennej piramidy. Generalna renowacja źródła nastąpiła w 2005 r. Nad wejściem widnieje napis: *Hedwigsquelle 1211, Źródło św. Jadwigi 2005*. Zgodnie z przekazem miała się tu ona zatrzymać (w 1211 r.?) w trakcie swoich pieszych wędrówek po ziemi złotoryjskiej. Źródło znajduje się u stóp grodziska, którego powstanie datuje się na IX/X w., a odkrycie nastąpiło w latach 1977-1979. Prawdopodobnie już w średniowieczu gród po pożarze stracił na znaczeniu i nie został odbudowany. Podczas wojny trzydziestoletniej czas jakiś zatrzymywały się na terenie grodziska wojska szwedzkie, stąd utrzymująca się aż do 1945 r. nazwa „szwedzki szaniec”. Z okazji uroczystości milenijnych, zorganizowanych wspólnie przez mieszkańców wsi, UG oraz TMZZ w Rzymówce, posadzono w 2005 r. wzdłuż dróżki, prowadzącej na grodzisko, dwanaście dębów milenijnych, nazwanych imionami Piastów śląskich; przy każdym drzewie jest tabliczka informująca o jego patronie.

ŚRODA ŚLĄSKA

Miasto położone jest na starym szlaku handlowym wiodącym z zachodu na wschód, zwanym Wysoką Drogą, a później Królewską Drogą, w połowie drogi między Legnicą a Wrocławiem. Prawdopodobnie już w X lub na pocz. XI w. w miejscu, gdzie



Rzymówka – piramida nad źródłem



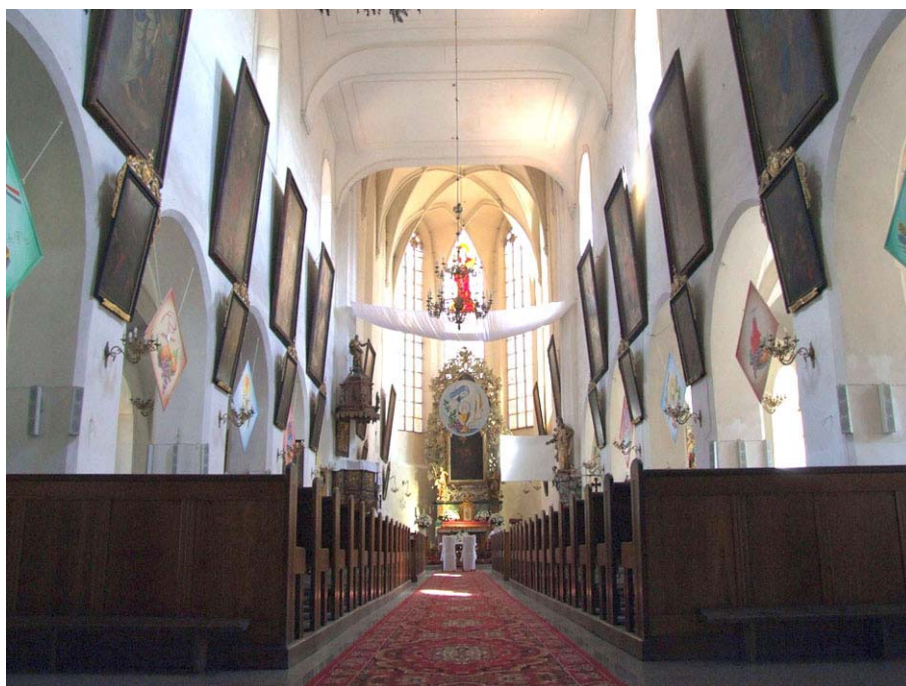
Rzymówka – źródło

szlak przechodził przez bród na Średzkiej Wodzie, powstała osada, w której można było znaleźć schronienie na noc. Nie wiadomo, kiedy Środa Śląska otrzymała przywilej odbywania targów, prawdopodobnie nastąpiło to około poł. XII w. Przekształcenie się jej z osady targowej w miasto związane jest z działalnością Henryka I Brodatego. Można przypuszczać, że Środa Śląska pierwsze prawa miejskie otrzymała w końcu XII lub w pierwszych latach XIII w. W 1208 r. miasto otrzymało od księcia nowe prawo, zwane flamandzkim. W 1235 r. zmienił on je na magdeburskie, przy czym i te zostały przystosowane do miejscowych warunków na tzw. prawo średzkie. W 1241 r. najazd mongolski poważnie zniszczył miasto. Kolejne zniszczenie nastąpiło już w 1248 r. w czasie walk lokalnych między synami Henryka Pobożnego. Wtedy to złupił miasto Bolesław Rogatka. Druga połowa XIII w., już spokojniejsza, przyniosła miastu osiedlenie się w nim franciszkanów oraz budowę murów obronnych.

Rynek zachował swój kształt od początków istnienia osady. W jego zachodniej części wznosi się kościół paraf. p.w. św. Andrzeja – najokazalsza i najstarsza budowla miasta. Bryła, jaką dziś widzimy, powstała w wyniku licznych zmian, ostatecznie jej uformowanie przypada na XIX w. Fragmenty murów romańskich, odkryte w czasie badań, wskazują, że przyziemie hali nawowej pochodzi z XII w. Wyposażenie wnętrza jest głównie barokowe i neogotyckie. Według legendy jest tu przechowywana szklanka, z której piła św. Jadwiga. Inny obiekt to kościół NMP, jedyna pozostałość założonego na pocz. XIII w. leprozorium, czyli szpitala dla trędowatych. Jego założenie przypisuje się św. Jadwidze. Kościół, wzniesiony około 1220 r., nie uległ w ciągu wieków zasadniczym przeróbkom i zachował do dziś romańską bryłę. Od 1816 r. był on magazynem wojskowym. W czasie ostatniej wojny zniszczono dach i kościół popadł w ruinę. W latach 60. XX w. nakryto go nowymi dachami. Kościół użytkowany jest obecnie jako filialny, przy czym przeniesiono do niego gotyckie rzeźby wymieniane dotychczas w literaturze jako wyposażenie kościoła paraf. św. Andrzeja. Na terenie przyległym do świątyni stoją dwa krzyże pokutne umieszczone tu wtórnie, na jednym z nich widoczny jest wryty miecz. Nieco dalej znajduje się źródło św. Jadwigi.

ŚWIERZÓW

Jest to wieś na terenie Wzgórz Trzebnickich w gminie Prusice. Na wschód od niej, przy polnej drodze, znajduje się „Kamień św. Jadwigi”. Według podań odcisnięta jest na nim stopa świętej i łapki jej psa.



Środa Śląska – tzw. Probostwo

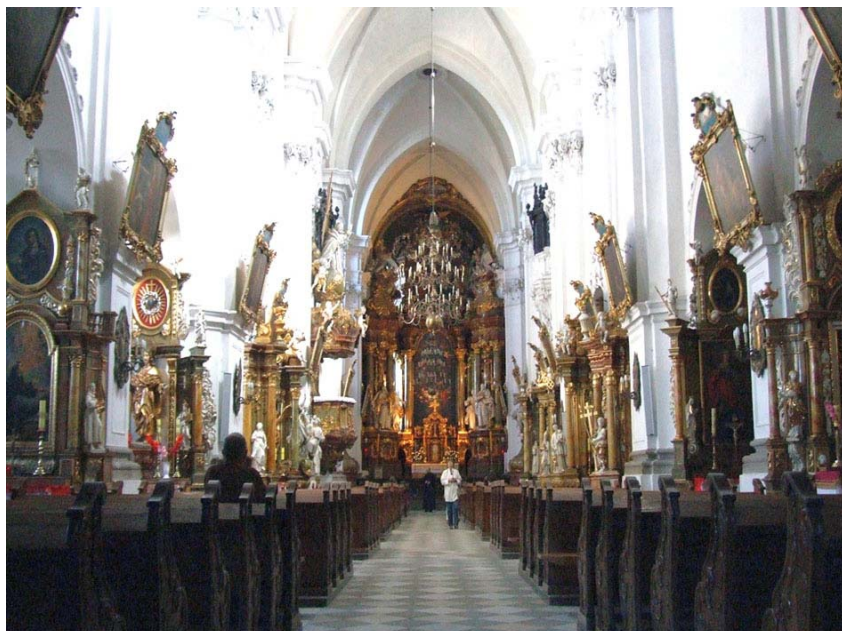
TRZEBNICA

W zbroczu Winnej Góry, dawnej cegielni, znaleziono najstarsze obozowisko ludzkie na terenie całej Polski, datowane na 500.000 lat. Młodsze wykopaliska wskazują, że w V w. istniała tu słowiańska osada. Pierwszy zapis o miejscowości jako *Trebznicha* pochodzi z 1138 r. Henryk I Brodaty w 1202 r. ufundował tu kościół i klasztor, do którego w 1203 r. wprowadziły się cysterki z Bambergu. Opactwo trzebnickie było pierwszym żeńskim klaszturem cysterskim na ziemiach polskich. Kościół p.w. św. Bartłomieja i NMP jest najstarszym sanktuarium na Śląsku i jedną z ważniejszych nekropolii Piastów Śląskich oraz miejscem uświęconym kultem św. Jadwigi. Jego kaplica św. Jadwigi jest pierwszym w Polsce obiektem zbudowanym w stylu gotyckim w latach 1268-1269. Mieści się tu barokowy sarkofag św. Jadwigi. Pod baldachimem, wspartym kolumnami, spoczywa alabastrowy jej posąg. Święta wspiera się na lewym ramieniu, natomiast w prawej ręce trzyma model bazyliki trzebnickiej – jej atrybut. Według legendy, kiedy św. Jadwiga wspierając się na lewym ramieniu usiądzie, nastąpi koniec świata.

INNE OBIEKTY

W północno-wschodniej części miasta znajduje się Rotunda Pięciu Stołów, muryrowany krąg wzniesiony na fundamencie z brył granitowych prawdopodobnie w końcu XIII w. Tradycja wiąże to miejsce z działalnością charytatywną św. Jadwigi. Było to również miejsce odosobnienia chorych podczas wielkiej epidemii. W 2007 r. została odnowiona i jest jednym z ważniejszych na ścieżce św. Jadwigi. W Lesie Bukowym znajduje się Droga Krzyżowa, ufundowana przez opatkę klasztoru Zofię Korczyńską w 1734 r., ma ona wyraźne podobieństwo stylowe do wybudowanego na przełomie XVII/XVIII w. nowego klasztoru.

W 1463 r. przełożona opactwa cysterek w Trzebnicy, ksieni Anna I, wybudowała na miejscu dawnej kapliczki kościół p.w. Czternastu Świętych Wspomożycieli w tzw. Pustelni. Obecna budowla, wzniesiona w 1886 r., jest budowlą jednonawową



Trzebnica – wnętrze bazyliki



Trzebnica – sarkofag św. Jadwigi



Trzebnica – wnętrze Rotundy

z pięciobocznym prezbiterium. Na wzgórzu przy ul. Wrocławskiej stoi kaplica św. Jadwigi – według tradycji została wzniesiona w końcu XVIII w. dla upamiętnienia miejsca wypoczynku św. Jadwigi podczas podróży do Wrocławia. Duża Ścieżka Świętej Jadwigi Śląskiej w Trzebnicy powstała na wzór Ścieżki Złotoryjskiej.

WLEŃ

Nad miastem króluje warownia, jedna z siedzib Henryka I Brodatego. Jak głosi legenda, księżna Jadwiga chciała wybudować świątynię koło zamku męża. Pewnego dnia, bawiąc tu, skierowała się z prośbą do okolicznej ludności o wsparcie jej ambicji, o modlitwę, o cud. Nagle tłum ogarnęła ci-
sza, a z zagajnika wyskoczyła mała przerażona sarenka. Księżna delikatnie wzięła ją na ręce i zaniósła na wzgórze. I obie się zaprzyjaźniły. Kilka tygodni później, wczesnym popołudniem, Jadwiga przechadzała się po zamku i wtem towarzyszące jej zwierzątko zafukało groźnie, stanęło przy murze i zaczęło kopytkiem stukać w kamień z takim zaangażowaniem, że żadną siłą nie można było go odpędzić. Księżna zrozumiała intencje sarny i rozkazała rozebrać tajemniczy mur. Okazało się, że w jego wnętrzu leżało mnóstwo złotych monet, przy pomocy których szczęśliwa gospodyni zrealizowała daną obietnicę i postawiła kaplicę dla swych poddanych. Ludziska okrzyknęli ją cudotwórczynią, a jej chwała głoszona była odtąd przez mieszkańców Wlenia po całej okolicy. W okolicy zamku, według legendy na kamieniu przy ścieżce prowadzącej wokół zamku zachował się odcisk dłoni Jadwigi.



Wleński zamek

Cdn.

Jerzy Maciejewski

Muzeum Przemysłu i Kolejnictwa na Śląsku



Wszystkich zainteresowanych historią techniki zapraszamy do odwiedzenia Muzeum Przemysłu i Kolejnictwa w Jaworzynie Śląskiej. Obecnie udostępnia ono ekspozycję obejmującą zabytkowy tabor kolejowy normalnotorowy od 1890 r. do lat 70. XX w. Zbiór składa się z ponad 50. lokomotyw (pochodzenia polskiego, niemieckiego, austriackiego, angielskiego i amerykańskiego), około 50. wagonów oraz żurawi kolejowych i pługu odśnieżnego. Zajmują one aż 1,5 km torów.

Poza taborem kolejowym do muzeum przybyły także maszyna parowa, dźwig, kolekcja motocykli Harley-Davidson, urządzenia dawnej drukarni, zabytkowy komputer „Odra”, zbiory ikonograficzne, biblioteczne oraz wiele eksponatów związanych z kolejnictwem i jego otoczeniem z zakresu łączności i zabezpieczenia ruchu kolejowego, nawierzchni kolejowej oraz wiele różnych pamiątek i dokumentów. Uruchomiona została makieta kolejowa w skali H0, sterowana autentycznymi urządzeniami zabezpieczenia ruchu kolejowego. Zbudowano dreżynę do jazd rekreacyjnych dla zwiedzających. Otwarto również sale ekspozycyjne – Mini Muzeum Zabawkarstwa Samochodowego, kolekcję zabytkowych samochodów oraz salę poświęconą historii motocyklizmu na Śląsku. Otwarto wystawy starych narzędzi stolarskich oraz radioodbiorników, a także uruchomiono Starą Drukarnię. Muzeum zajmuje się również organizacją różnego rodzaju imprez okolicznościowych i charytatywnych. Szczegóły na www.muzeumtechniki.pl.

Muzeum Przemysłu i Kolejnictwa na Śląsku, ul. Towarowa 4, Jaworzyna Śląska, tel. 74-637-43-30; **godziny otwarcia:** dni powszednie: 8:00–16:00, weekendy i święta: 10:00–16:00; **bilety:** 11/9/10 zł.

LOT „Księstwo Świdnicko-Jaworskie”

Kudowskie atrakcje

Będąc w Kudowie-Zdroju warto odwiedzić Dom Pracy Twórczej „Cyganeria”, który działa od 1994 r. Mieści on w swych podwojach pracownię, w której skupia kudowskich artystów amatorów oraz galerię, gdzie organizowane są wystawy artystów z Polski i z zagranicy. Warto tu zajrzeć, by poznać część duszy uzdrowiska. Nieopodal Parku Zdrojowego mieści się budynek basenu „Aqua Park – Wodny Świat” z serpentyną zjeżdżalni, która ma 92 m długości na zewnątrz. Tam można się doskonale zrelaksować, korzystając z 25-metrowego basenu pływackiego lub basenu rekreacyjnego. Do dyspozycji jest także jacuzzi, wodne masaże, sztuczna rzeka, a na dzieci czeka brodzik z atrakcjami. Basen przystosowany jest dla osób niepełnosprawnych. Dla tych, którzy wody nie lubią, przygotowano zespół fitness: sauny, solarium, siłowni oraz gabinetu masażu. Koło basenu znajduje się pomnik „Kudowa-Zdrój miasto festiwali Moniuszkowskich”. Dla aktywniejszych, lubiących adrenalinę, wspaniałą atrakcją będzie udanie się do parku linowego. Mosty linowe, tyrolki składające się na tor o długości 500 m. Na linach i mostach zawieszonych 15 m nad ziemią można doznać emocjonujących chwil. Doskonałą atrakcją dla dzieci jest Colorado Park, w którym czekają na dzieci zjeżdżalnie, poduchy oraz moc innych atrakcji. Kolejną z nich na pewno będzie Park Rozrywki, gdzie dobra zabawa jest gwarantowana. Z kolei dla młodzieży powstał skate park, w którym można poszaleć.

Jest jeszcze parę rzeczy, które warto zobaczyć, na przykład Muzeum Zabawek „Bajka”. To magiczne miejsce, w którym dzieci z radością i zdumieniem odkrywają zabawki swoich rodziców i dziadków, a dorośli z uśmiechem przenoszą się w świat zapomnianych dziecięcych fantazji. Muzeum istnieje od 12.12.2002 r.



Na powierzchni 300 m² pokazana jest kilkutysięczna, największa w Polsce wystawa zabawek. W tym miniaturowym świecie prezentowane są prawie wszystkie znane formy zabawkarstwa europejskiego – od starożytności po lata 80. XX w. Są teatryki domowe, szopki bożonarodzeniowe, zabawki znane z filmów, lalki i ich akcesoria, zabawki blaszane, militaria chłopięce, klocki, zwierzątka, zabawki optyczne, samograje i wiele innych. Są też przybory szkolne i miniklasa sprzed pięćdziesięciu lat.

Następne muzeum, które oczaruje swoimi eksponatami, to Muzeum Żaby – jest to jedyne takie muzeum w Polsce. Prezentuje ono 3000 eksponatów z 20 krajów świata. Muzeum jest dziełem ośrodka dydaktycznego, utworzonego przy Parku Narodowym Gór Stołowych. Kolejnym muzeum, które warto zobaczyć, jest Muzeum Dawnych Rzemiosł. Tu dowiemy się, jak sto lat temu robiono buty, jak była wyposażona kuźnia, zobaczymy stare maszyny kaletnicze i krawieckie. Kudowę-Zdrój możemy także zwiedzać pojazdem MELEX. W trakcie przejażdżki można się dowiedzieć wielu ciekawych rzeczy o niej oraz poznać historię miasta.

Wspaniałe atrakcje oferuje także Rancho Montana, które położone jest na malowniczym obszarze pogranicza polsko-czeskiego. Z ujeżdżalni rozciąga się widok na masywy górskie po czeskiej stronie. Rancho dysponuje rozległymi pastwiskami, na których konie przebywają całą dobę i jedynie w zimie są zamykane na noc w stajni. Dzięki takiej, zbliżonej do naturalnych warunków, hodowli, konie nie mają kłopotów zdrowotnych. Są również zrównoważone psychicznie, co daje komfort jeźdźcom w czasie wyjazdów terenowych. Nie ma koni, które się nie tolerują, dzięki czemu przypadkowe zbliżenie się do drugiego konia nie skutkuje natychmiastowym kopnięciem. Prowadzone są tam jazdy i szkolenie jeździeckie w stylu western. Możemy także odwiedzić stajnię zaprzęgową „Fiakier”, która znajduje się w „Zagrodzie Stary Młyn” na obrzeżach kurortu, 2 km od polsko-czeskiego przejścia granicznego. Oferują tam atrakcje związane z przewozami pojazdami konnymi. Główną atrakcją sezonu letniego jest wycieczka wozami piknikowymi do Nachodu i Hronowa, połączona ze zwiedzaniem lokalnych zabytków i degustacją doskonałego czeskiego piwa.

*Małgorzata Żulińska
Fot. Krzysztof R. Mazurski*

Modernistyczny kościół – niedoceniana perełka Wrocławia

We wschodniej części nadodrzańskiej metropolii rozciąga się na tzw. Wielkiej Wyspie unikatowe osiedle Sępolno, jedno z tych, które powstały tuż przed wielkim kryzysem, czyli generalnie do 1927 r. Na tym podmokłym nieco terenie znajdowano znaleziska neolityczne, a w 2 poł. XIII w. istniała tu, do XIX w. ciągle niewielka, wioska. Plany odciążenia przeludnionego centrum przyniosły zbudowanie oryginalnie rozplanowanej części Wrocławia, włączonej doń w 1924 r. Tuż po 1930 r. mieszkało w niej 21 tys. mieszkańców, z czego 67% stanowili ewangelicy wyznania luterańskiego – w całym mieście było ich 60%, a na Dolnym Śląsku (wliczając Ziemię Kłodzką) – 80%. Zaskakujące stało się, że pierwszy kościół na tym osiedlu zbudowali w 1930 r. ... katolicy (obecna parafia Św. Rodziny). Być może, stało się to wynikiem trudności finansowych i chęci stosowania demokratycznych procedur, ponieważ mimo dwóch konkursów na projekt sprawa stała w miejscu, zaś wierni zbierali się w sali gimnastycznej – dużej, przyznać trzeba – pobliskiej okazałej szkoły, w której po 1945 r. uruchomiono szkołę podstawową nr 45. Nie pomagały pisma do Berlina, do zwierzchnictwa kościelnego, wreszcie jednak powstał nowoczesny projekt autorstwa Alberta Kemptera, współtwórcy kilku innych zielonych osiedli Wrocławia.

Projekt, w duchu czystego i surowego wręcz modernizmu, przez co kościół jest wysoko ceniony przez znawców architektury, zyskał w końcu szansę na realizację, gdy 6.10.1932 r. położono kamień węgielny. W trzysetną rocznicę śmierci szwedzkiego króla Gustawa II Adolfa, obrońcy śląskich ewangelików (i nie tylko) podczas wojny trzydziestoletniej, pod Lützen koło Lipska, po półtora roku budowy świątynię poświęcono. Zyskała ona wyraźne akcenty wertykalne, wzmocnione wysoką na 40 m wieżę, na której umieszczono duży zegar (dziś nieistniejący). Wiele starań przy jej postawieniu i wyposażeniu wniósł pierwszy proboszcz – ks. dr Joachim Bunzel, w czasach nazizmu należący do opozycyjnego Kościoła Wyznającego (jak ks. Dietrich Bonhoeffer – jego pomnik przy kościele św. Elżbiety, do ostatniej wojny określany jako „matka kościołów [ewangelickich] Śląska”). Okrutną ironią losu stało się jego powołanie do wojska w funkcji kapelana i śmierć



Kościół

16.09.1939 r. nad Bzurą. Ten pierwszy proboszcz zboru przy kościele nazwanym Pamiętkowym króla Gustawa Adolfa – jeden z sześciu ewangelickich zbudowanych we Wrocławiu na przełomie XIX/XX w. (w 1939 r. było ich dwadzieścia cztery), został też prezesem Towarzystwa Gustawa Adolfa, zwanego potocznie Bratnią Pomocą, na Śląsk. Organizację tę założyli ewangelicy w 1832 r. dla wspomagania biedniejszych i mniej zamożnych zborów. W 1843 r. pojawiła się ona nad Odrą. Bunzlowi udało się wszakże pozyskać jedynie 1000 reichsmarek na duży, sięgający sklepienia krzyż ołtarzowy. Wnętrze, z rozbudowanym chórem, mogło pomieścić 1000 osób, znajdo-

wały się w nim organy produkcji Sauera i zaginiona dziś rzeźba znanego Teodora von Gosen. Na zapleczu była mniejsza sala na zimowe i skromniejsze nabożeństwa oraz różne zajęcia, w tym katechetyczne. Obok w 1935 r. powstała duża pastorówka, gdzie mieszkały też dwie siostry parafialne, zajmujące się parafianami wymagającymi opieki.

Po krótkim powojennym okresie, związanym z wysiedleniem ludności niemieckiej i zmianami własnościowymi, obiekt został przejęty przez Kościół Ewangelicko-Augsburski w Polsce, który uruchomił w nim normalną działalność. Nieoczekiwanie i nagle, wręcz zbójcko, gdzieś w połowie lat pięćdziesiątych, przybyła tu państwowa ekipa zajmując cały zespół. Wywieziono wszystko, fragment organów trafił do katolickiej katedry we Wrocławiu. Wnętrza przerobiono – główną nawę na kino „Światowid”, wspomnianą salkę na kino „Bajka”, zaś w pastorówce urządzono przedszkole i osiedłowy Dom Kultury. Protestować przeciwko temu nie było wtedy jak. Nie było więc tak, jak sugeruje „Encyklopedia Wrocławia”, iż kościół miał po 1945 r. stać nieużytkowany i bezpański. W latach 70. dolepieno ohydny przybudówkę, zajmowaną dziś przez... pralnię.

Przyszła zmiana ustroju i Kościół, posiadając odpowiednie dokumenty własnościowe, wystąpił o zwrot nieruchomości. Nieewangeliccy mieszkańcy Sępolna i innych części miasta podjęli głośną akcję protestacyjną, jednak władze Wrocławia nie ugięły się i w 1996 r. zespół wrócił do prawowitego właściciela. I oto 22.05.1999 r. doszło do pierwszej po wojnie trzydziestoletniej rekonsekracji na Śląsku ewangelickiego kościoła. Przeprowadzili ją biskup Kościoła EA Jan Szarek i katolicki metropolita wrocławski ks. kardynał Henryk Gulbinowicz – nie bez przyczyny, bowiem do 2005 r. świątynia była współużytkowana (rzadki precedens w Polsce!) przez wspomnianą wcześniej parafię Św. Rodziny. Obecnie należy ona do niemieckojęzycznej parafii św. Krzysztofa (około 200 zborowników) – wraz z uroczym kościółkiem św. Krzysztofa. Do 2013 r. była tu też siedziba ewangelickiego duszpasterstwa wojskowego, ale w związku z reorganizacją armii zlikwidowano ją. Ze względu na duże zmiany tego ważnego dla architektury modernizmu i wyglądu Wrocławia obiektu ciągle trwają prace remontowe i rekonstrukcyjne, które powinny niedługo przywrócić choćby częściowo pierwotne uformowanie nawy głównej przez usunięcie podwieszanego sufitu.

W pastorówce mieszka proboszcz płk. ks. Andrzej Fober i znów siostra parafialna, prowadząca niewielką stację diakonijną, służącą wiernym. Nie da się, niestety, zrekonstruować zakończenia wieży, które po zabraniu przez Państwo zostało częściowo zniszczone przez przeróbkę solidnej, betonowej konstrukcji na widokową kawiarnię, która jednakże nie powstała.

Krzysztof R. Mazurski



Pastorówka

Dar szczególny i wspaniałe (4)

Ludobójstwo

Moje losy z lat wojny były zwykłą prozą dzieci wzrastających w okresie okrucieństwa sowieckiej i niemieckiej okupacji oraz bestialskiego i makabrycznego w metodach zbrodni ludobójstwa ukraińskich nacjonalistów spod znaku Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (UON) i jej zdziczałego, zbrojnego ramienia w postaci band ukraińskich banderowców, mieniących się kłamliwie – Ukraińską Powstańczą Armią (UPA, która śmie przedstawiać siebie jako pokrzywdzonych i niewinnych popełnionych w podstępny i bestialski sposób zbrodni. *W czasie, gdy z wielkimi trudnościami stawianymi przez Ukraińców udało się przez wiele lat odbudować cmentarz Orłąt Lwowskich, postawić kilka pomników pomordowanym Polakom, nacjonałiści ukraińscy postawili w Polsce poza prawem i nielegalnie około 200 upamiętnień, głównie ubowców, w tym panteon chwały UPA w Hruszowicach na Podkarpaciu (wspólnie z nacjonalistami ukraińskimi z Ukrainy, którzy stamtąd przywieźli pomnik w kawalkach). Bierność polskich władz w tej sprawie jest wprost zadziwiająca. Świadczy o obojętności moralnej, obraża poczucie sprawiedliwości i godności ofiar zbrodni nacjonalistów ukraińskich, których gloryfikacja jest w Polsce tolerowana.* Na skandal też zakrawa fakt, że pogrobowcy i bezpodstawni gloryfikatorzy UPA potrafili potajemnie postawić na terenie byłego PGR we wsi Białystok w gminie Dołhobyczów (woj. lubelskie) prawie dwumetrowy kamienny monument. Na ciemnoszarym granicie złotymi literami wyryto: *Poległym Żołnierzom UPA za Wolność Ukrainy 26 lutego 1946 roku.* Oprócz tego na obelisku znajdują się dane 41 osób (imię i nazwisko, pseudonim, rok urodzenia, miejscowość, z której pochodziły).

Wciąż nie przemogłem się do odtworzenia okoliczności, w jakich zginął mój Ojciec, który szczęśliwie wrócił z kampanii wrześniowej. Był dla mnie i mojej siostry Wandy, młodszej ode mnie o ponad trzy lata, kimś wyjątkowym, przewodnikiem i nauczycielem lat dziecięcych. Dawał poczucie bezpieczeństwa, ukazywał sens, cele i zadania życia. Kształtował w kulcie słowa, umiejętności celowego i zrozumiałego posługiwania się nim. Uczył koncentracji uwagi, samokontroli na co dzień, *mierzyć siły na zamiary* oraz kierowania się w aktywności: uczciwością, solidnością pracy, służby publicznej i niedarowania niczego nikomu *po znajomości*. Nadal nie potrafię odpowiedzieć sobie, jak to się stało, że z siostrą Wandą wraz z ciocią Wiktoria i wujkiem Teofilem Łuczak udało nam się wrócić z drogi na Syberię. Natomiast cała rodzina: babcia i dziadek (Ludwika i Jan Denek), stryjowie (Stanisław i Władysław Denek), ciocie (Janina Denek, Romualda Baroni), wujek (Jan Baroni) oraz cioteczna siostra (Irena Baroni) i bracia cioteczni (Józef Baroni i Romuald Łuczak), zostali w niewyobrażalnych warunkach (bydłęce wagony, odkryte samochody ciężarowe i sanie o *chłodzie i głodzie* wywiezieni na północny kraniec nieprzebytych leśnych ostępów obwodu archangielskiego (podróż trwała cztery tygodnie!). Powrót wyznaczał szlak Armii Wojska Polskiego gen. Władysława Andersa. Zawiódł on całą żeńską rodzinę na trzy lata do Tanganiki i Ugandy, a stamtąd do Huddersfield (Yorkshire) w Anglii. Z syberyjskiego wygnania nie wrócili Jan i Stanisław Denek, Józef Baroni i Romuald Łuczak. Ciocia Wiktoria była naszą pierwszą nauczycielką. Jej zawdzięczamy umiejętność czytania i pisanie. Natomiast Wujek jako osoba bardziej wykształcona, inteligentna, znająca języki obce, szanował słowa, których, jak mówił, nie wolno nadużywać, lecz należy posługiwać się nimi roztropnie. Usilnie zachęcał, żeby dążyć do wiedzy jako podstawy rzetelnego w przyszłości służenia Ojczyźnie, aby stawała się lepsza, piękniejsza i mądrzejsza. Zadał sobie też trud wdrażania siostry i mnie do systematycznego rozwiązywania coraz trudniejszych, treściowych zadań matematycznych. Na szczęście, edukacja ta nie poszła w las, raczej stawała się jego owocem wraz z łąkami i niebem, z czasem przeniknęła do umysłu i serc tysięcy młodzieży szkolnej i studenckiej, osadziła ją w ich ziemi, przywiązała do jej przodków i pomogła im rosnać mocą dębów.

Pierwsze zapowiadające groźne w przyszłości dla Polaków, zamieszkujących kresy Drugiej Rzeczypospolitej, wystąpienia ukraińskie o charakterze politycznymi militarnym miały miejsce we wrześniu 1939 r. Skierowane były przeciw posterunkom policji i pojedynczym grupom wycofujących się żołnierzy Wojska Polskiego. Zabójstwa Polaków – chłopów, ziemian, leśniczych nie były masowe. Pierwsza okupacja sowiecka (1939-1941) była dotkliwa. Polacy w najgorszych snach nie przypuszczali, że będzie jeszcze gorzej.

Po czerwcu 1941 r. do głosu doszli ukraińscy nacjonaści. Rozpoczęły się okrutne sceny zbrodni i ludobójstwa Ukraińskiej Armii Powstańczej (UPA), która, zamiast walczyć z niemieckim okupantem, swoje ostrze skierowała przeciwko bezbronnej ludności południowo-wschodnich województw Drugiej Rzeczypospolitej, która rzekomo była tu *okupantami*. Z rąk UPA ginęli Polacy, Żydzi, Ormianie, Czesi, Rosjanie, Romowie, a także ci Ukraińcy, którzy nie zgadzali się z opętańczą ideologią Stefana Bandery, pomagali Polakom w ucieczce przed śmiercią. Ginęli od kul, siekier, wideł, kos, pił, łomów, noży, maczug, kołków, a nawet młotów do uboju bydła i odważników wag dziesiętnych. Ukraińskim zbrodniarzom nie wystarczało tylko zadawanie śmierci. Ofiary poddawano nieludzkiemu znęcaniu się i torturom. Doświadczali oni takich okropieństw, jak *rąbanie siekierami; wbijanie gwoździ w czaszkę; skalpowanie; obcinanie lub odrąbywanie ręki, nosa, uszu, warg lub języka; uderzanie obuchem siekiery w czoło lub czaszkę; rozrywanie ust od ucha do ucha; podrzynanie gardła; rozrąbywanie głowy siekierą lub jej odrąbywanie; obcinanie piersi kobietom; przecinanie na pół piłą; rozcina- nie brzucha ciężarnej kobiecie i wrzucanie czegoś do wnętrza; wkładanie czegoś do pochwy; wieszanie ofiar za wnętrzności; wrywanie im żył; przypalanie dłoni; rąbanie całego ciała na części; przybijanie gwoździami do stołu lub w kościele do krzyża; wbijanie kołka do brzucha; rozrywanie tułowia końmi lub łańcuchami; wleczenie po ulicy ze sznurem zawieszonym na szyi; strzelanie do człowieka jak do tarczy; wieszanie na drucie kolczastym; zakopywanie żywcem do ziemi i ścinanie kosą głowy; podpalanie ofiary; wyrzynanie żyłką skóry na ciele; wrzucanie żywcem dzieci do studni lub do palących się budynków; wieszanie za genitalia; wbijanie na pal lub na sztachety w płocie; topienie w rzece; wrzucanie niemowląt na widły. Polskie domy, zaścianki, wsie, dworki, dwory, pałace, sady, parki, ogrody były palone, aby nie można było ponownie w nich zamieszkać. Zniknęły. Nie pozostał po nich kamień na kamieniu. Masowe i okrutne mordy na Polakach wielu ukraińskich historyków próbuje usprawiedliwiać i niuansować, sprowadzając je do *chłopskiego konfliktu etnicznego* względnie *wojny między Armia Krajową a UPA*.*

Pamiętam dantejskie sceny mordów na ludności polskiej zamieszkującej pow. krzemieniecki i brodzki, szczegółowo zaplanowanych i zrealizowanych z żelazną konsekwencją, wyrachowaniem i bezwzględnością, dokonywanych z premedytacją, z niesłychanym i niespotykanym okrucieństwem. Widziałem, jak moją Mamę (Antoninę z domu Górską) pozbawiono życia przez spalenie w posiadłości ziemskiej Jej rodziców w Wilii. *Pełnego obrazu upowskiego barbarzyństwa nikt nie zdołał nakreślić, zostało wspomnienie, które dziś zrywa ze snu, może łatwiej byłoby znieść ciężar kresowej pamięci, gdyby oprawcy zostali potępieni, niestety tak się nie stało. Do przypomnienia gehenny zmuszają ataki spadkobierców UON na II RP, Armię Krajową i Wojsko Polskie.* Przemilczanie tragedii ludobójstwa do niczego dobrego nie prowadzi. Aby przebaczyć, trzeba wcześniej usłyszeć przyznanie się do winy. Nie można zapominać o prawdzie. Nie da się jej zmienić, zabić czy zapisać wbrew niej na swój sposób. Skoro zdarzyła się, to jest i będzie. Nikt nie powinien nią manipulować. Nie można tego czynić nawet w *świecie odwróconych pojęć*. Pojednanie polsko-ukraińskie jest konieczne i możliwe. Nastąpi ono w rezultacie autentycznego dialogu. Podstawowym jego warunkiem jest prawda i jej poszanowanie. Doskonałą ku temu okazję stwarzała przypadająca w tym roku LXX rocznica apogeum rozebranego na Wołyniu, a przemilczanego przez dziesiątki lat, ludobójstwa, które miało miejsce w *krwawą niedzielę* 11.07.1943 r. Zaatakowano wówczas w jednym czasie 167 bezbronych miejscowości. Zamordowano wszystkich mieszkających w nich Polaków – mężczyzn, kobiety, starców i dzieci, ograbiono i spalono ich domy. Podczas trwających mszy podpalano kościoły. Wiernych i kapłanów, którzy nie spłonęli, bestialsko mordowano. Na dzień przed *krwawą niedzielą* Zygmunt Jan Rumel (pseudonim *Krzysztof Poręba*) jako komendant VIII Okręgu Wołyńskiego Batalionów Chłopskich, Oficer Armii Krajowej, emisariusz i delegat Rządu RP na Wołyń, podjął pertraktacje z UON-UPA, aby położyć kres dokonywanym przez nie bestialskich mordów. Na spotkanie z ich przedstawicielami w Kustyczach pod Kowlem wyruszył w mundurze porucznika WP bez broni i obstawy. Wierzył, że strona ukraińska podczas pertraktacji będzie przestrzegać zasad, które obowiązują w cywilizowanym świecie i kierować się honorem. Z tej misji już nie wrócił. Na *rozkaz* okrutnego watażki Jurija Stelmaszczyka został w okrutny sposób zamordowany przez rozerwanie końmi. Jako poeta znany był m.in. z wiersza, w którym podkreślał, że jest spadkobiercą tego, co polskie i co ukraińskie:

*Dwie mnie Matki – Ojczyzny wyuczyły mowy,
w warkocz krwisty plecionej jagodami ros,
bym się sercem przetamał bólem w dwie połowy –
by serce rozdwojone płakało jak głos.*

Problematyka zbrodni ukraińskich nacjonalistów na ludności polskiej na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej była objęta anatemą w PRL. Nie jest lepiej w III RP. Wciąż wśród rządzących i programach szkolnych

oraz w większości mediów temat ten prawie nie istnieje. Obchodzona w tym roku 70. rocznica apogeum zbrodni przez morderców z UON-UPA na Polakach stwarzała naturalną okazję dla niepodległej Ukrainy, by nazwać dokonane z wyjątkowym okrucieństwem mordy – ludobójstwem, i poprosić o przebaczenie. Na słowa prawdy, odrzucenia dotychczasowych kłamstw i manipulacji historią czekają wciąż rodziny ofiar i żyjący świadkowie niespotykanych w naszych dziejach rzezi. Są one potrzebne także niepodległej Ukrainie do przewyciężenia tragicznej historii i uczciwego pojednania w prawdzie sąsiadujących z sobą narodów. Będzie ono służyć dobrze pojętym interesom narodów Polski i Ukrainy. To nie wszyscy Ukraińcy są winni fali zbrodni ludobójstwa, która *wrosła w serca i zatruta krew pobratymczą* i za sprawą OUN – UPA rozlała się po Kresach II RP. Jakkolwiek pojednanie jest konieczne i potrzebne obu narodom, to jednak nie może ono opierać się na kłamstwach, niedopowiedzeniach i w cieniu pomników ideologów i przywódców ludobójstwa, takich jak Stepan Bandera, Roman Szechewycz czy Dmytro Doncow. We Lwowie zamiast popiersia mrocznego ludobójcy powinien stanąć pomnik pojednania i solidarności Polski i Ukrainy. Zamiast tego z okazji 71. rocznicy powstania UPA na Polu Marsowym we Lwowie, gdzie usypany jest Grób Nieznanego Żołnierza UPA, złożono wieńce, a młodzież powtórzyła rotę przysięgi UPA. Podobne spotkania gloryfikujące zbrodniczą formację połączone z uroczystą przysięgą odbyły się w innych miejscowościach Ukrainy. Deklaracja Kościołów rzymsko i greckokatolickiego w Polsce i na Ukrainie, podpisana w Sekretariacie Episkopatu Polski w Warszawie 28.06.2013 r. oraz Uchwała Sejmu RP z dnia 12.07.2013 r., określająca rzeź wołyńską jako *czystka etniczna o znamionach ludobójstwa*, wskazują, że wciąż jesteśmy na początku drogi do prawdziwego pojednania Polaków i Ukraińców w duchu prawdy. Nie ma wątpliwości, że zbrodnia ta ma charakter *genocidum atrox* (ludobójstwa, dzikiego, okrutnego).


Byłem świadkiem 5.08.1943 r. bohaterskiego odparcia przez obronę Rybczy (pow. krzemieniecki) pod dowództwem płk. mgra Jana Niewińskiego (zasłużonego prezesa Kresowego Ruchu Patriotycznego, prezesa Komitetu Budowy Pomnika Ofiar Banderowskiego Ludobójstwa, przewodniczącego Stowarzyszenia Instytut Kresów Rzeczypospolitej Polskiej, wiceprezesa Społecznej Fundacji Narodu Polskiego) ataku UPA na tę wieś. To dzięki Niemu i dzielnej samoobronie Rybczy uratowała się od śmierci liczna grupa ludności polskiej, która zbiegła z okolicznych wsi, w tym także i moja siostra Wanda, która samotnie uciekła z posiadłości dziadka Józefa Górskiego z odległej o 2 km Wili. W LXX rocznicę tych tragicznych wydarzeń wyrażam Panu płk. mgr. Janowi Niewińskiemu podziw za Jego niezłomną, patriotyczną, bohaterską i dzielną postawę, w wyniku której zostało uratowane życie Polaków, którzy uciekając przed ludobójstwem UPA znaleźli się w Rybczy.

Cdn.

Kazimierz Denek

Fot. Andrzej Rumiński





**Oferta wydawnictw
turystyczno-krajoznawczych
wydanych przez
Oddział Wrocławski PTTK**

LUBAŃ

Zapraszam w Gorce. We wschodniej części tego pasma nad wszystkim góruje łatwo rozpoznawalny wierzchołek. Od zachodu, od Przeł. Knurowskiej wznosi się lekko ku wschodowi długi grzbiet, na tyle charakterystyczny, że stanowi odrębną grupę górską. Najlepiej widoczny jest z Małych Pienin, należących do Beskidu Sądeckiego polan nad Szczawnicą i zboczy nad Jaworkami. Jest to...

Lubań. Wybitny, dwuwierzchołkowy (2011 i 2025 m) szczyt, wznoszący się wysoko nad dolinami Dunajca i Ochotnicy. U podnóża leżą duże wsie: Ochotnica Dolna i Ochotnica Górna oraz Tylmanowa. Obie Ochotnice tworzą zabudowany ciąg w dolinie o długości około 25 km. Na zachodzie Pasma Lubania zaczyna się na Przeł. Knurowskiej (832 m), od niej ciągnie się długi grzbiet (całość ponad 20 km), a kolejne kulminacje rosną coraz wyżej od zachodu do wschodu. Na wysokości 900 m leży przysiółek Studzionki, znany wśród turystów ze stacji turystycznej. Funkcjonuje ona od dziesięcioleci i jest jedynym (oprócz lata) oparciem dla turystów wędrujących z Turbacza na i przez Lubań do Krościenka Głównym Szlakiem Beskidzkim. Kolejne ważniejsze kulminacje w drodze z Knurowskiej na Lubań to Kotelnica (946 m), Runek (1005 m), Jaworzyny (1075 m). Ku południowschodowi, znacznie krótszy od zachodniego grzbiet spada w kierunku Krościenka. Na wschód i południe od Lubania leży dolina Dunajca, a różnica poziomów między szczytem Lubania a doliną wynosi 725 m. Tyle przewyższenia trzeba pokonać idąc np. z Krościenka lub z Czorsztyna na szczyt. Po południowej stronie masywu leżą duże gorczańskie wsie Grywałd, Krośnica, Kluszkowce, Maniowy i Szlembark oraz Czorsztyn na granicy Gorców i Pienin. Krościenko jest zwornikiem między Beskidem Sądeckim, Pieninami i Gorcami w postaci Pasma Lubania. Drugi grzbiet od szczytu na wschód, a właściwie ku północowschodowi, wysyła Lubań w kierunku Tylmanowej. Ozdobą partii szczytowych jest wychodnia skalna Samorody. W pobliżu wybudowano w pobliżu w 1937 r. duże schronisko narciarskie, zniszczone w 1944 r.



Lubań z Hal Gorcowskich

Nazwa. Już przy okazji omawiania Lubonia Wielkiego wskazywałem na liczne występowanie rdzenia „Lub” w nazewnictwie na terenie Gorców i Beskidu Wyspowego. Gorczańskiemu Lubaniowi też „się dostało”. Wschodni wierzchołek nosi nazwę Średni Groń (na mapach), spotyka się też nazwę Trzy Kopce, raz Obwiesia Wierch – być może wywożono tam ciała samobójców. Widokowy wierzchołek zachodni nosi także nazwę Patryja. W ten sposób nazywano kiedyś szczyty, na których stawiano wieże triangulacyjne. Triangul stał także na tymże wierzchołku.

Dojazd. Po obu stronach grzbietu ciągną się drogi. Jedna w dolinie Ochotnicy, która biegnie od skrzyżowania w Tylmanowej przez obie Ochotnice, wznosi się na Przeł. Knurowską i zbiega na południe do Knurowa i do szosy Krościenko – Nowy Targ. Druga główna droga to wspomniana wyżej szosa, łącząca miejscowości pomiędzy Krościenkiem a Nowym Targiem. Od wschodu okrąża szosa z Krościenka przez Tylmanową, Łącko i Stary do Nowego Sącza. Do wszystkich miejscowości, położonych przy tych drogach, można dojechać samochodem oraz komunikacją publiczną (autobusy i busy prywatnych przewoźników). Dojazd z głębi kraju choćby pociągiem lub autobusem do Nowego Targu, skąd autobusem lub busem do którejś z podgorczańskich miejscowości u podnóża gór: Harkłowej, Łopusznej, Knurowa itd. lub do Krościenka. Być może czytający ten odcinek turyści wybierając się w Gorce lub Pieniny skorzystają już z nowego dworca autobusowego w Nowym Targu.

Szlaki turystyczne. Główną rolę i znaczenie ma czerwono znakowany GSB, wiodący grzbietem od Rabki przez Turbacz i Przeł. Knurowską oraz szczyt Lubania. Dalej szlak zbiega do Krościenka. Od strony północnej mamy szlak niebieski z Kamienicy i zielony z Gorca. Oba podchodzą od Ochotnicy. Tu dodam, że końcówka podejścia zielonym od Ochotnicy na grzbiet to dość mozolna turystyczna robota. Dość długo idzie się dnem bocznej doliny, po czym ścieżka staje dęba. Inny zielony szlak wiedzie bocznym grzbietem z Tylmanowej. Oba szlaki, zielony i niebieski, zbiegają na stronę południową do Grywałdu i Kluszkowiec. Niebieski wiedzie do Czorsztyna, czyli do wrót Pienin. W dolnym odcinku niebieskiego na Wdźarze warto rzucić okiem na wyrobiska kamieniołomów. Obok znana stacja narciarska, a na pobliskiej Przeł. Snózka (Krośnickiej) stoi metalowy „grający” pomnik autorstwa Władysława Hasióra. „Grający”, bo w zamyśle autora na metalowych elementach pomnika wiatr miał wygrywać swoje „melodie”. Amatorom kolarstwa górskiego polecam zjazd z Lubania do Krościenka, choć wymaga to mozolnego „wydrapania się” na Lubań, zaś w zjeździe szczególnej uwagi na licznych pieszych znajdujących się na szlaku.

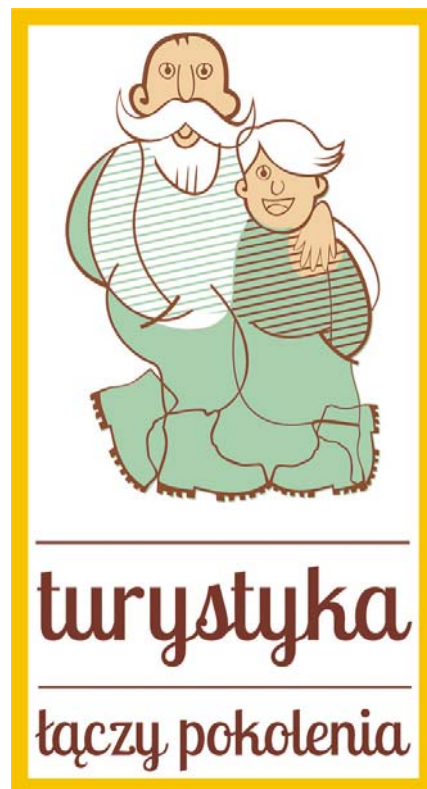
Widoki. Zachodni wierzchołek słynie z panoramy Pienin i Tatr. Tuż pod nogami lśni zalew na Dunajcu, czyli Jezioro Czorsztyńskie. Szerzej patrząc, widzimy Spisz, Podhale i Pogórze Spisko-Gubałowskie. Ponad wszystkim wyrasta skalny mur Tatr. Patrząc ku wschodowi, widzimy z profilu Beskid Sądecki. Nieograniczone widoki w tę stronę są z polan poniżej szczytu przy czerwonym szlaku Lubań – Krościenko. Stąd także znakomite i coraz bliższe w miarę schodzenia widoki na Pieniny.

Baza noclegowa. W dolinach, w takich miejscowościach, jak Czorsztyn, Kluszkowce, Krościenko, Ochotnica, znajdziemy prywatne kwatery, pensjonaty i bazę agroturystyczną. To infrastruktura dla wczasowiczów i turystów zmotoryzowanych. Tu dygresja: kto jeszcze pamięta stary Czorsztyn i obozowisko PTTK pod Zielonymi Skalkami oraz działający w pobliżu drewniany pawilon gastronomiczny? Ech, wszystko to teraz pod wodą. Było może zgrzebne i prymitywne, ale ten klimat... Co dla wędrowców? W zachodniej części pasma wspomniana stacja turystyczna na Studzionkach. Czynna jest cały rok, ma swoją stronę internetową, co ułatwia kontakt z gospodarzami i ewentualną rezerwację noclegu. Na rozległej szczytowej polanie Lubania działa latem słynna studencka baza namiotowa. Stanowi ona oparcie dla wędrujących GSB, ale także dla turystów przecinających Pasma Lubania „w poprzek”. Baza dysponuje własnymi namiotami (2-, 4-osobowe, około 50 miejsc) i polem namiotowym. Tradycyjna infrastruktura turystyczna składa się z miejsc do przygotowania i spożywania posiłków i toalety w bezpiecznej odległości od bazy. Po wodę gospodarze bazy i turyści chodzą do źródła na południowym zboczu. Początki zagospodarowania turystycznego sięgają lat 30. XX w. Zaczęło się od skromnego schronu (1934), potem zbudowano okazałe schronisko na Samorodach. W latach 1975-78 krótko funkcjonowała baczka PTTK, która spłonęła 8.01.1978 r. Spółka PTTK „Karpaty” zamierza zbudować nowe schronisko w lokalizacji zbliżonej do schroniska przedwojennego. Ma to być prawdziwe schronisko, nie zaś hotel górski, czego obawiają się przeciwnicy tej inwestycji. *Nowe schronisko będzie dysponować około 40. miejscami noclegowymi. Pokoje mają być wieloosobowe, typowe dla schronisk górskich. Budynek będzie w pełni nowoczesny i ekologiczny* – wyjaśnia prezes Jerzy Kalarus. Póki co, trwają procedury formalno-prawne umożliwiające rozpoczęcie inwestycji.

Mapy i przewodniki. Niemal wszystkie wydawnictwa kartograficzne mają w swojej ofercie mapy Gorców i Pienin. Są one przeważnie w podziałce 1:25.000 lub 1:50.000, niektóre foliowane, te najnowsze dostosowane do systemu GPS. Zaopatrujemy się zatem w mapę firm: Rewasz, Plan, Sygnatura, PPWK, Galileos, Compass lub mapę wyd. Vojensky Kartograficky Ustav (Gorce i Kotlina Nowotarska). Dostępne są także panoramy z Gorców i pobliskich Pienin oraz kilka przewodników. Trudno tu wymienić wszystkie, zwracam uwagę na przewodnik *GORCE – przewodnik dla prawdziwego turysty* (REWASZ). Mapy bez problemu kupimy w sieci EMPiK, księgarniach turystycznych, a na pewno na miejscu w Krościenku, Szczawnicy, Nowym Targu.

Postscriptum. To już ósmy odcinek minikatalogu. Mowa o „górach wybitnych”, a gdzie Babia Góra, ta najwybitniejsza z beskidzkich gór? Spokojnie. Cykl zaplanowany jest na dziesięć odcinków, więc jakaś szansa dla Babiej jest. Przecież jeszcze nie wiem, co będzie w odcinku dziewiątym.

Juliusz Wystouch



Tatry – reportaż z podróży (3)

Z innych niezwykle klimatycznych miejsc Zakopanego które mógłbym polecić, są:

– **Cmentarz Zasłużonych na Pęksowym Brzyzku** (nazywany też *starym cmentarzem*) – pierwszy zakopiański cmentarz przy ul. Kościeliskiej, powstały w połowie XIX w., na którym od lat dwudziestych XX w. chowano – oprócz tych, którzy posiadali tu rodzinne grobowce – już tylko ludzi wybitnych i zasłużonych dla Zakopanego, Tatr i Podhala. Można zobaczyć nagrobki, będące dziełami sztuki wykonanymi w drewnie lub kamieniu, kapliczki, krzyże góralskie i motywy podhalańskie malowane na szkło. Pochowane zostały tu takie osobistości, jak Tytus Chałubiński, Sabała, Kazimierz Przerwa-Tetmajer, Stanisław Witkiewicz czy Jan Długosz.

– **ulica Kościeliska** - najstarsza ulica miasta, wzdłuż niej rozciągało się dawniej centrum Zakopanego. Jej nazwa wywodzi się od doliny Kościeliskiej lub sąsiedniej wsi Kościelisko. Obecnie ma 1300 m długości, w większości posiada drewnianą, zabytkową zabudowę. Kilka obiektów, które szczególnie zapamiętaliśmy, to Kaplica Gąsieniców i Cmentarz na Pęksowym Brzyzku. Tuż za kaplicą jest dom rodzinny Wnuków, jeden z najstarszych w Zakopanem. Wybudowany około 1850 r. przez Jana Gąsienicę Walczaka. Trochę dalej znajduje się willa „Koliba”, pierwszy dom w stylu



zakopiańskim, dziś Muzeum Stylu Zakopiańskiego im. Stanisława Witkiewicza. Dalej ważnym punktem jest chałupa Sabały, zbudowana w końcu XVIII w. Ważny punkt wycieczek stanowi Sanktuarium MB Fatimskiej wybudowane w latach 80. jako podziękowanie za uratowanie życia Janowi Pawłowi II. W ogrodach Sanktuarium znajduje się góralski ołtarz ze stadionu przy Skoczni na Krokwi, z mszy z udziałem Jana Pawła II w 1997 r.

KUCHNIA ZAKOPIAŃSKA

Przy okazji wizyty w Zakopanem warto wspomnieć o słynnej zakopiańskiej kuchni. Mieliśmy możliwość spróbować kilku tradycyjnych potraw. W pobliżu naszego miejsca zamieszkania, przy wjeździe do Doliny Chochołowskiej, jest karczma u Ziębów, gdzie jedliśmy codziennie. Mogliśmy spróbować takich potraw, jak najlepszy według mnie bigos, naleśniki ze świeżym serkiem i jagodami przyniesionymi z lasu. Do tego bardzo często grzane piwo lub herbata z rumem. Przy okazji wizyt w karczmie wchodziliśmy do doliny. Około pół kilometra od wejścia kupowaliśmy świeży oscypek u górala w prawdziwej baczowce. Do tego mieliśmy możliwość spróbować specjałów słynnej karczmy „Polany” w Kościelisku, ponieważ nasza przyjaciółka pracuje tam jako kucharka. Na uwagę zasługiwała tradycyjna góralska kwaśnica na gęsinie, do tego tarta z oscypkiem i szpinakiem oraz oscypek pieczony z żurawiną. Poza tym udało się posmakować pyszności podczas naszych wycieczek. Szczególnie smakował jablecznik w Dolinie Pięciu Stawów i chleb ze smalcem na Polanie Strążyńskiej. Wynikało to pewnie bardziej z wyczerpania i zachwyty nad miejscem.

PRZYGODY Z GÓROLAMI

Kolejnymi, jednymi z najważniejszych wspomnień wyjazdów są spotkania z góralami. Dzięki zamieszkanemu z dala od miejskiego życia Zakopanego poznaliśmy codzienną ciężką fizyczną pracę, kulturę i tradycje miejscowych. Niezapomnianym przeżyciem sprzed trzech lat była wizyta na Tatrzańskich Wiciach w Dolinie Chochołowskiej z naszymi góralskimi przyjaciółmi. Przybyliśmy tam późnym popołudniem, kiedy byliśmy już chyba jedynymi cęprami. Zachwyciła nas wspólna zabawa wszystkich zebranych: śpiewy, tańce i wspólne toasty. Byliśmy światkami zawodów wyboru najlepszego górala w takich konkurencjach, jak rąbanie drewna

na czas czy przeciąganie liny. Wokół znajdowały się liczne stragany z góralskimi specjalami, a w centrum scena, na której cały czas grała regionalna kapela.

W ub. roku zostaliśmy zaproszeni na niedzielnego grilla, na którym zebrała się cała ogromna rodzina mieszkająca na Brzyzku. W centrum uwagi była oczywiście przesympatyczna Gaździna, która zajmowała nas swoimi opowieściami, jednocześnie będąca niezwykle zainteresowana naszym opowiadaniem o życiu w mieście. Był to jeden z najciekawszych wieczorów, mimo że przez pierwszą godzinę nie byliśmy w stanie zrozumieć ponad połowy rozmów gwarą góralską. Do tego jako przyjezdni urządzaliśmy niemal cowieczorne ogniska dla młodszej części rodziny, naszych rówieśników. Ponadto zapraszani byliśmy do różnych gier, m.in. w piłkę siatkową. Spędzaliśmy również wieczory z naszym góralskim przyjacielem, który uczy się w szkole muzycznej w Krakowie śpiewu operowego. Zajmowani byliśmy przepiękną grą i śpiewem przy grzonym winie. W trakcie jednego z takich wieczorów rozpętała się potężna burza i mogliśmy dzięki temu podziwiać przeszywające czarne niebo błyskawice uderzające w widoczne szczyty Czerwonych Wierchów. Było to bardzo efektowne i niepokojące wrażenie z dreszczykiem emocji.



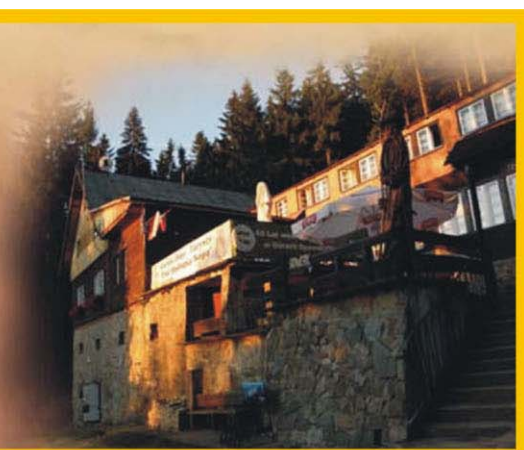
Również jedną z zorganizowanych przygód przez naszego góralskiego przyjaciela była przejażdżka uazem. W nieco ekstremalnych warunkach jeździliśmy po lesie, przez rowy, strumienie i inne wertepy, także wzdłuż brzegu i przez Dunajec. Na jednym z pierwszych spacerów mieliśmy możliwość zobaczyć dom wybudowany w typowym stylu zakopiańskim kilka lat temu przez rodzinę, u której mieszkaliśmy. Dom powstał na Płazówce, kilometr za lasem od naszego miejsca pobytu, przy równie pięknym kościółku św. Anny, wybudowanym w 1891 r. Oba budynki oraz polana przed nimi były miejscem rozegrania się ostatnich scen filmu kinowego „Ja wam pokażę”. W dodatku ekipa filmowa z Bollywood kręciła tutaj zdjęcia do filmu „Fanaa”. Mniejsze przygody z góralskimi, które zapamiętałem, były w drodze do Doliny Kościeliska, gdzie zostaliśmy otoczeni przez wielkie stado owiec, prowadzone przez bacę i przesympatyczne i piękne owczarki podhalańskie. Po przeprowadzeniu ciekawej rozmowy z bacą poszliśmy dalej. Innym razem zaznaliśmy uprzejmości górala, wracając z wycieczki z Doliny Chochołowskiej. Zostaliśmy przewiezieni, ponad 2 km, bryczką do karczmy, na kolację.

Podsumowując, każda wizyta w górach wiązała się z wieloma przygodami, wycieczkami i poznawaniem zakopiańskiej kultury i architektury, dlatego też jak najczęściej staram się tam wracać o każdej porze roku.

Koniec

Michał Ciastoń

Górski Dom Turysty
"Pod Biskupią Kopą"
48-267 Jarnołtówek 211
tel. 077/439-75-84
www.biskupiakopa.pl
e-mail: biskupiakopa@wp.pl



O ormiańskich chaczkarach – raz jeszcze

Mój artykuł o ormiańskich chaczkarach w Polsce (NS nr e-81) nie byłby kompletny, gdyby nie informacje, które napłynęły do mnie już po jego ukazaniu się. Przede wszystkim dziękuję serdecznie ambasadorowi Republiki Armenii w Polsce Ekszelencji Ashotowi Galoyan za jego telefon i informację w rozmowie 26.11.2013 r. o dwóch dalszych monumentach ormiańskich, jakie zostały odsłonięte i poświęcone w ostatnim czasie. Są to chaczgary w Łodzi, poświęcony 10.11.2013 r., i na warszawskim osiedlu Sadyba. Przy tej okazji piękny teren zieleni u zbiegu ulic Powsińskiej i Okrężnej otrzymał nazwę „Skwer Ormiański”. Uroczystość na Sadybie była częścią programu oficjalnej wizyty prezydenta Armenii Serża Sarkisjana w Polsce. W Łodzi zaś tamtejszy chaczkar jest zlokalizowany na terenie parafii rzymsko-katolickiej p.w. NMP Łaskawej przy ul. Goplańskiej 11/13.

Warto tu jeszcze raz powtórzyć definicję chaczkarą, tym razem według „Wirtualne Muzeum przedmiotów kultu”: Chaczkar (po angielsku Khatchkar) dosłownie znaczy „kamień – krzyż” i odnosi się do pionowej kamiennej płyty z krzyżem jako jej centralnym motywem oraz towarzyszącymi mu innymi elementami w postaci stylizowanych wzorów geometrycznych oraz inskrypcji. Krzyż armeński (ormiański) ma podwójne zakończenia (rozszerzenia). Chaczgary, o wysokości od 0,5 do 3,5 m, wykonywano z kamienia, ustawiając na prostopadłościennym podstawie, kierując część frontową z krzyżem w kierunku zachodnim. Powszechna była wiara w moc ochronną chaczkarów przed klęskami żywiołowymi; stawiano je również, by upamiętnić ważne wydarzenie, ale też jako elementy kompozycyjne w budowlach sakralnych. Pełniły one też rolę nagrobków, stawianych zawsze w nogach zmarłego.

Osobnym wątkiem w temacie „chaczkarów w Polsce” jest udział naszej organizacji Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego, w przyswojeniu i popularyzacji tej, ciągle jeszcze egzotycznej dla Polaków, tematyki. Tu rolę pioniera wzięł na siebie Oddział Wojskowy PTTK w Chełmie na Lubelszczyźnie, który Uchwałą Zarządu Oddziału nr 2/2012 z lutego 2012 r. ustanowił i wprowadził w życie Ogólnopolską Odznakę Krajoznawczą PTTK „Poznaj chaczgary w Polsce.” W regulaminie odznaki inicjatorzy piszą: „W ostatnim okresie, na terenie kraju, pojawił się nowy, jeszcze mało znany, element w polskim krajobrazie, jakim są chaczgary. Zdobyć tej odznaki, pozwoli zgłębić wiedzę, dotyczącą tego obiektu. Zapraszamy do odwiedzenia tych obiektów, które będą podstawą do przyznania odznaki „Poznaj chaczgary w Polsce”. Dalej w załączniku organizatorzy wymieniają tylko pięć znanych im chaczkarów – od siebie dodam, że istnieje ich już w tej chwili 10. Do wymienionych w załączniku należy jeszcze dodać w Oławie, Łodzi, Klebarku Wielkim na Warmii i w Warszawie na osiedlu Sadyba. Zupełnie nieznanym jest natomiast (wymieniony w zestawieniu) chaczkar na terenie Ambasady Ormiańskiej w Warszawie. To byłby stan aktualny na chwilę obecną. Z realizacją w praktyce tej odznaki wyłania się jednak pewien problem, ponieważ... Ambasada Republiki Armenii w Warszawie odmówiła jakiegokolwiek możliwości udzielenia wizerunku chaczkaru znajdującego się na jej terenie lub pozwolenia na sfotografowanie go przez osobę z zewnątrz.

Chaczkar w Warszawie. Fot. Anna Becker-Kulińska



Chaczkar w Gliwicach.
www.isakowicz.pl



Architektonicznie analizując temat, chaczki dzieli się na trzy rodzaje: pomniki wolnostojące, tablice przyściennie, oparte tyłem o ścianę budowli, i płyty kamienne, wmurowane (wgłębione) w mur. Zdecydowana większość z nich to obiekty wolnostojące, dające się obejść i odczytać wszystkie wyryte na nich emblematy i napisy (itp. obiekty we Wrocławiu i Krakowie). Typem przyściennym są chaczki w Klebarku Wielkim, Gliwicach i Łodzi, płyta wmurowana jest (jak na razie) jedna: w Oławie na Dolnym Śląsku. Chaczkar, jaki znajduje się w niej, jest zupełnie inny i w warunkach polskich wyjątkowy. Ma kształt płyty o wymiarach (około) 25 cm wysokości, 12 cm szerokości i grubości 3 cm. Wykonana z czerwonego tufu (prawdopodobnie!), jest wmontowana w prostokątną tablicę z szarego granitu, na której wyryto tekst intencjonalny. Sama płyta jest skromna, a rysunek bardzo płytki i przez to słabo czytelny. Ale można rozpoznać zarys krzyża i elementów otaczających go. Tablica okolicznościowa z wmontowanym w nią chaczkiem jest umieszczona w lewej nawie bocznej (dość wysoko) kościoła p.w. MB Pocieszenia, koło rynku w Oławie. Tekst motywacyjny umieszczenia monumentu przytaczam na zdjęciu. Fundatorem i wykonawcą tablicy (ale nie chaczkaru) jest Leszek Danilewicz, po matce Ormiance. Sam



Tablica w Oławie. Fot. Leszek Zaremba



Chaczkar w Łodzi. Fot. Mirosław Z. Wojalski

kamień chaczkaru został wyraźnie przywieziony z terenów pierwotnego osadnictwa polskich Ormian na wschodzie. Tutaj wyraźnie trzeba dodać, że Oława jest jednym z ważniejszych miejsc osadnictwa polskich Ormian po II wojnie światowej, pochodzących głównie z Czerniowiec, Śniatyna, Kut i okolic. Oława jest miejscem częstych spotkań i zjazdów Ormian polskich z Dolnego Śląska. „U nas jest dużo osób pochodzenia ormiańskiego, około siedemdziesięciu. Część tych prawdziwych Ormian już wymarła, ale są ich dzieci, które niekiedy dopiero teraz dowiadują się, że mają ormiańskie korzenie.

**Data roczna na bocznej ścianie chaczkaru w Łodzi.
Dobrze widoczna struktura tufu wulkanicznego.
Fot. Mirosław Z. Wojalski**

Obok Krakowa, Warszawy, Gliwic, Gdańska – właśnie Oława jest jednym z silniejszych ośrodków, gdzie żyją Ormianie” (wywiad z Janiną Kordys, oławską Ormianką w internetowej „Gazecie Powiatowej”).

Więcej także wiemy o materiale kamiennym, w jakim odkute są ormiańskie chaczkary. Otóż wszystkie (z wyjątkiem krakowskiego) pochodzą z Armenii i wykonane są z tufu, miejscowej skały, stanowiącej od wieków tradycyjny materiał budowlany. Tuf wulkaniczny jest określeniem niejednoznacznym. Słownik petrograficzny W. Ryki i A. Maliszewskiej wymienia kilka, a nawet kilkanaście rodzajów tufów wulkanicznych (w zależności od ich składu mineralnego, a także spoiwa klastycznego), dla naszych potrzeb niech wystarczy definicja ogólna: „Tuf, lekka porowata skała powstała z materiału piroklastycznego, scementowanego kwarcem, opalem, chalcedonem, tlenkami żelaza, kalcytem itp. Tufy porfirowo-kwarcowe używane są na stopnie schodowe, ornamenty, niekiedy jako kamienie budowlane na mury i podmurówki.” (Z. Pytlakowa: *Słownik petrograficzny*).



Ormiańskie chaczkary w Polsce (zestawienie na 1.01.2014 r.)

Miasto, miejscowość	Rok odsłonięcia	Lokalizacja
1. Elbląg	2005	Obok kościoła p.w. Bożego Miłosierdzia, ul. Bema
2. Gdańsk	2009	„Zaułek Ormiański” przy kościele p.w. Św. Piotra i Pawła, ul. Żabi Kruk 9
3. Gliwice	2011	Kościół p.w. Św. Trójcy, ul. Mikołowska 8
4. Klebark Wielki, gm. Purda	2012	Przy kościele p.w. Znalezienia Krzyża Św.
5. Kraków	2004	W obejściu kościoła p.w. Św. Mikołaja, ul. Kopernika 9
6. Łódź	2013	Kościół p.w. NMP Łaskawej, ul. Goplańska 11/13
7. Oława	2008	Kościół p.w. MB Pocieszenia Pl. Maksymiliana Kolbego; płyta
8. Warszawa		Ambasada Republiki Armenii, ul. Bekasów 50; bliższe szczegóły nieznanne
9. Warszawa	2013	Osiedle Sadyba – „Skwer Ormiański” u zbiegu ul. Powsińskiej i Okrężnej
10. Wrocław	2012	ul. Janickiego – obok wejścia do klasztoru dominikanów

Janusz Zaremba



Via Regia z Kamieńca do Kinsporka

Chciałbym przedstawić propozycję pieszego przejścia szlakiem Via Regia z Kamieńca (łuz. Kamjenc, niem. Kamenz) do Kinsporka (niem. Königsbrück) na Łużycach Górnych po stronie niemieckiej. Jest to trasa niezbyt wymagająca, choć licząca prawie 20 km. Trzymamy się znaków przedstawiających muszlę św. Jakuba.

Zwiedzanie Kamieńca rozpoczynamy od kościoła św. Anny, przy którym dobudowano parterowy budynek mieszczący informację turystyczną. Można tam otrzymać broszurkę

w jęz. polskim i właśnie stamtąd przejść łącznikiem do świątyni, pełniącej funkcje muzeum. Kościół ten obchodził w 2012 r. piękny jubileusz. Poświęcono go równo pięćset lat temu. Obecnie należy on do międzynarodowej sieci dróg Via Sacra. Znajdują się na niej najcenniejsze obiekty sakralne pogranicza polsko-niemiecko-czeskiego. Chodzi tutaj o ołtarze. W pierwszym z nich widzimy Marię z Jezusem i św. Annę. W drugim św. Franciszka, ukazującego swoje stygmaty. W trzecim (tutaj głównym) widzimy św. Annę i Marię oraz Dzieciątko. Na bocznych jego skrzydłach umieszczono rzeźby przedstawiające siostry Marii, także Marie. Dla ich odróżnienia dodano im imiona ojców. I tak, pierwsza była Maria Kleofasa, druga Maria Salome. W czwartym ołtarzu widzimy Boga Ojca w towarzystwie św. Franciszka i św. Bernarda ze Sieny. Ostatni ołtarz przedstawia Marię w mandorli. To scena nawiedzenia Marii. Pokazano w niej spotkanie ciężarnej Marii ze św. Elżbietą, noszącą w łonie Jana Chrzciciela. Przekaz mówi, że w trakcie tego spotkania oboje dzieci nawiązały ze sobą pierwszy kontakt, jeszcze przed ich narodzinami.



Ołtarze w kosciele św. Anny w Kamieńcu



Muzeum Lessinga

Po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko kościoła, znajduje się budynek muzeum Gottholda Ephraima Lessinga. Wzniesiono go w dwusetną rocznicę urodzin pisarza, a otwarto w 1931 r. Jednym z najbardziej znanych dzieł Lessinga jest *Natan Mędrzec* – pięcioaktowy dramat, w którym zawarł on przypowieść o pierścieniu. Wielki zielony gmach widoczny za kościołem to budynek szkolny. Ciekawe są w nim umieszczone nad dwoma wejściami napisy. Pierwszy zachęca do

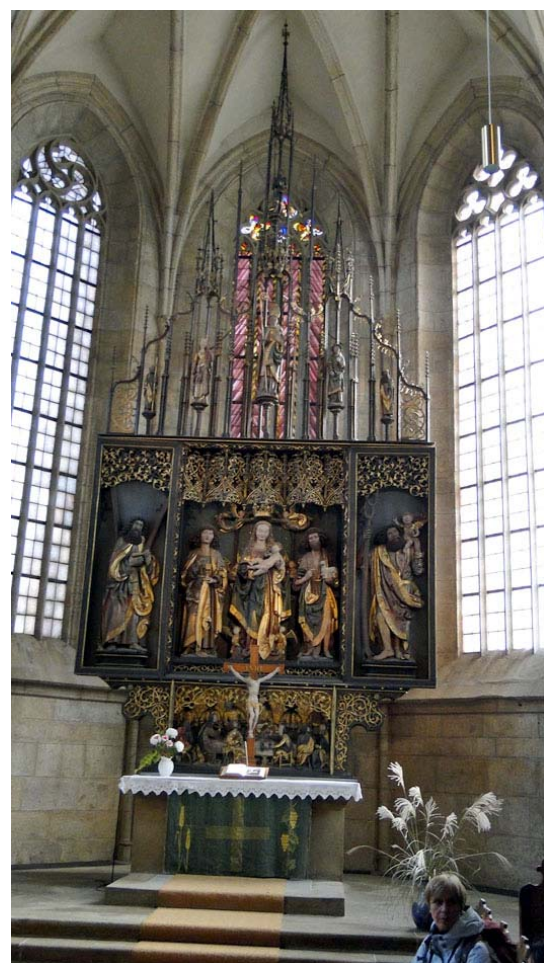
uczenia się mądrości, drugi do ćwiczenia cnoty. Pierwszymi drzwiami wychodzą ze szkoły chłopcy, drugimi dziewczynki. Jednak najciekawszy jest napis w bruku placu pomiędzy szkołą a kościołem. Jest to cytat ze św. Franciszka z Asyżu: *Czyń najpierw to co konieczne, potem to co możliwe, i nagle okaże się, że możesz uczynić to, co niemożliwe.*

Na teren starego miasta wchodzimy przez bramę wykutą w murze przez franciszkanów, którzy po pożarze w 1842 r. musieli, zgodnie z decyzją władz, nowy klasztor wybudować poza murami miejskimi. Po pewnym czasie udało im się załatwić zgodę na wykonanie przejścia skracającego drogę do centrum. Wykorzystujemy to i dochodzimy do ratusza z czerwonej cegły. Obecny wzniesiono po pożarze. Architektem był Schramm, który wykorzystał przy pracach projektowych szablony Karla Schinkla, twórcy m.in. przebudowy zamku królewskiego w Mysłakowicach i projektu zamku w Kamieńcu Ząbkowickim. Na 40-metrowej wieży ratusza umieszczono herb miasta, w którym widzimy jego barwy (biały i czerwony) oraz barwy Łużyc Górnych (kolor żółty i niebieski). Wśród budynków wyróżnia się duża budowla z restauracją „Złoty Jeleń”. To najdłużej działająca tu gospoda. Posiłki podaje się w niej już od ponad pięciuset lat. To tutaj wyprawiono ucztę, gdy narodził się mały Lessing. Budynek ten ma swoją tajemnicę. Początkowo nie wiadomo było, dlaczego podczas wielkiego pożaru, kiedy to spłonęło niemal całe miasto, on ocalał. Sprawa wyglądała następująco. Dawno temu zawitała tu Cyganka, a gdy posiliła się, nie mając czym zapłacić, zaproponowała właścicielowi, że zamiast tego odmówi błogosławieństwo chroniące dom przed ogniem. W tamtych czasach strach przed pożarem był olbrzymi, właściciel przystał więc na taki rodzaj zapłaty. I ponoć właśnie to ocaliło dom przed późniejszym ogniem.

Kolejny obiekt, który musimy obejrzeć, to kościół NMP. Idziemy do niego uliczką wyłożoną starym brukiem. Obok widzimy na filarach metalowe haki, na których wieszano tusze mięsa przeznaczone do sprzedaży. Warto przyjrzeć się pięknym kamiennym żygaczom, umieszczonym na 63-metrowej wieży. Każdy z nich przedstawia coś innego. Jest czworonożne zwierzę z ludzką głową, jest takie same z głową wilka. Kolejne to na pewno postać małpy, ale jest też rubaszna świnka z pierścieniem na palcu. Pierwotnie w tym miejscu znajdowała się wieża strażnicza. Od czasu, jak miasto zdobyli husyci, organizowana jest tu procesja dziękczynna i błagalna. Mówi się, że oszczędzono wtedy mieszkańców, choć faktem jest, iż zginęło ich wówczas ponad tysiąc. Co roku organizuje się także w święto leśników, marsz ubranych w białe szaty dzieci, które zmierzają naprzeciw husytom. Wnętrze świątyni jest całkowitym zaskoczeniem. Te sklepienia, łuk triumfalny ozdobiony krzyżem i rzeźbami, no i sam ołtarz główny. Jest na co popatrzeć. W czasach, kiedy zmuszono księży do odejścia od katolicyzmu, dobudowano empory. Uwagę zwraca bogato zdobiona łoża. Najpiękniejszym jednak obiektem jest wspomniany już ołtarz, przedstawiający Marię trzymającą na rękach Dzieciątko. W bocznych płycinach umieszczono św. Andrzeja (po prawej) i św. Krzysztofa (po lewej). Kościół położony jest na szlaku św. Jakuba i w związku z tym można otrzymać tu stosowną pieczętkę do paszportu pielgrzymiego.



Ratusz w Kamieńcu



W kościele NMP w Kamieńcu

Mijając pomnik żołnierzy radzieckich, poległych podczas II wojny światowej, wchodzimy do niezwykłego parku. Obecnie mieszkańcy nazywają go Parkiem Ludowym. Idąc aleją można wypatrzeć wśród drzew głąz z wrytym nazwiskiem Wilhelm Weisse. To właśnie jego praca dała początek temu założeniu. Jesteśmy już trochę zmęczeni, więc większość zapewne ominie wzgórze z widoczną wieżą widokową Hutberg. Powoli schodzimy na dół do drogi asfaltowej i dostrzegamy kominy elektrowni „Turów”. Mijając mały laszek widzimy ustawiony przy drodze słupek poczty saskiej z datą 1723. Zaraz za nim docieramy do miejscowości Schwosdorf. Można tutaj odpocząć albo w domu pielgrzyma, albo w małych drewnianych altankach ustawionych co jakiś czas przy drodze, a także w gospodzie w Reichenau, skąd dalszą trasę wskazuje umieszczony na drogowskazy miniludzik. Wkrótce zobaczymy ułożony w poprzek drogi kamień z wrytą muszlą św. Jakuba i napisem „Willkommen in Königsbrück”. To wyraźny znak, że docieramy do celu. Najpierw jednak, przy kolejnym punkcie odpoczynku, zobaczymy miniaturową figurkę przedstawiającą św. Jakuba. W trawie obok dostrzeżemy mały grób z umieszczoną na nim tablicą, na której widać datę narodzin i śmierci. Jest także jakiś tekst, oczywiście po niemiecku. Okazuje się, iż ktoś pochował w tym miejscu swoją ukochaną świnkę morską.

Po dotarciu do Kinsporka udajemy się do rynku, gdzie ratusz został wzniesiony w 1847 r. po wielkim pożarze, jaki miał wtedy miejsce. Via Regia to od wieków podstawa rozwoju miasta, dlatego rynek zawsze stanowił miejsce odpoczynku dla wędrowców. Istnieją przekazy, że bywały czasy, kiedy nie był on w stanie pomieścić przybywających tu wozów. Do obsługi wędrowców zbudowano aż trzy gospody. Jeśli ktoś chciałby dowiedzieć się szczegółów z historii miasta czy poszczególnych obiektów, to może skontaktować się z miejscowym miłośnikiem regionu Wernerem Lindnerem. Dysponuje on kluczami do kościoła, który koniecznie trzeba odwiedzić. Obecny obiekt jest trzecim wzniesionym w tym miejscu. Poprzedni spłonął w 1631 r., a pierwszy w 1431. Pielgrzymi zawsze mogli liczyć na odpoczynek zarówno dla ducha, jak i ciała.



Z wyposażenia na pewno zainteresuje ołtarz. Ma on ciekawą historię. Początkowo zbudowany jako typowy dla tego terenu, w 1890 r. został zastąpiony nowym, tak samo jak reszta wyposażenia. Wierni w tamtym okresie uznawali inne wartości i ołtarz ten jako zbyt wystawny nie znalazł uznania w ich oczach. Znaleźli się jednak ludzie uważający inaczej i schowali jego elementy. W ten sposób przetrwały one aż do końca II wojny światowej, kiedy postanowiono ponownie je złożyć i na powrót umieścić w kościele. W soboty o godz. 17 uruchamiany jest korbowy mechanizm dzwonów, które zawiadamiają mieszkańców, iż oto nadchodzi niedziela. Na wieżę kościelną prowadzi ponad sto schodów. Warto jednak tam się udać, by zobaczyć w tzw. „izdebce” stare fotografie ukazujące wygląd niektórych budowli w okresie sprzed 1945 r. Znajduje się tu także księga pamiątkowa. Na dole na ławeczce stoją kubki oraz dzbanki z wodą i winem, do częstowania tych, którym z wrażenia zaschło w gardle. Oczywiście można tu otrzymać specjalną pieczętkę do paszportu pielgrzymiego, ale można także dostać „Talary św. Jakuba”.

Krzysztof Tęcza



Najładniejszy pomnik w Kinsporku

PECZERSKA ŁAWRA

W pieczarze w zbroczu góry nad Dnieprem znalazł sobie miejsce bytowania pustelnik Antonij (Antoniusz), który wcześniej żył na górze Atos. Był rok 1051. Ze świętym mężem liczył się sam książę Jarosław, a później jego syn Iziaslław, mający niedaleko stąd letnią siedzibę. Do Antoniusza dołączył Feodosij (Teodozjusz) i jeszcze jedenastu innych pątników. Zostali mnichami, a w latach 1073-1084 zbudowali oni kamienną świątynię Zaśnięcia MB (dała początek Soborowi Uspieńskiemu). W XII w. powstały zachowane do dziś cerkwie Św. Trójcy nad główną bramą klasztoru i Zbawiciela na Berestowie (z grobem księcia Jurija Dołgorukiego – założyciela Moskwy). Monaster przetrwał najazdy Połowców, Mongołów i Tatarów. Po 1596 r., gdy Kijów znalazł się w Koronie Polskiej, klasztor pozostał ostoją prawosławia. W XVII i XVIII w. wzniesiono większość zabudowań zespołu klasztornego, w tym cerkwie św. Nikoły, Wszystkich Świętych (1698) nad bramą ekonomiczną, Podniesienia Krzyża (1700) nad Pieczarami Bliskimi, Poczęcia św. Anny nad Pieczarami Dalekimi i obok Narodzenia MB (1696). Zbudowano cele mnichów, dom metropolity, budynki biblioteki i drukarni, budynek ekonomiczny (tj. zarządcy dóbr klasztornych). Cały ten ogromny teren otoczono wysokimi murami, uzupełniając je basztami. W latach



Główny dziedziniec ławry z nadbramną cerkwią św. Trójcy



Muzeum mikrominiatur. W środku w białej koszuli Nikoła Siadristy

1731-1744 wzniesiono wielką dzwonicę. W XVIII w. Peczerska Ławra stała się potężnym feudałem. Należało do niej 10 miasteczek, 200 wsi, 160 młynów, 160 winiarni. Na zakonników pracowało 70 tys. chłopów pańszczyźnianych. W 1786 r. rząd carski upaństwowił ziemskie dobra ławry. Wówczas zakonnicy z konieczności uruchomili produkcję przedmiotów kultu religijnego.

Władza radziecka znacjonalizowała zabudowania ławry i przekształciła ją w 1926 r. w muzeum państwowe. Uchroniło to zabytkowe cerkwie od zburzenia, czego doświadczyły liczne inne cerkwie Kijowa. Co prawda, główny Sobór Uspieński podczas okupacji niemieckiej w listopadzie



Zejście do dolnej części ławry

Pieczar są szczątki świętych ojców Cerkwi. Leży ich tu 120. Zakonnicy, po przejściu terenu od muzeum w 1988 r., skrócili trasy zwiedzania i poprowadzili je na ogół poza miejscami, gdzie umieszczono trumny z mumiami świętych starców i gdzie pod ziemią wykuto w piaskowcu kaplice. Opłatę za wejście stanowi wykupienie świeczki woskowej, którą należy zapalić, by cokolwiek zobaczyć. Zakonnicy zdjęli bowiem elektryczną instalację oświetleniową, która była tu poprzednio.

W ławrze na powierzchni 28 ha znajduje się ponad 80 budowli, a wśród nich 37 to pomniki architektury, głównie cerkwie. Wszystkie je odremontowano. Na kopuły cerkwi Państwo przeznaczyło ponad 16 kg złota. Peczerska Ławra jest głównym klasztorem na Ukrainie i jedną z czterech ławr na całym prawosławnym obszarze trzech wschodniosłowiańskich narodów. Pozostałe trzy ławry to Troice-Siergijew Posad (1744) koło Moskwy, Aleksandra Newskiego (1797) w Sankt Petersburgu i Poczajewo-Uspieńska (1833) koło Tarnopola. Peczerska Ławra jest z nich najstarsza, bo zaszczytną funkcję głównego klasztoru pełni od 1598 r. Choć znajduje się na terytorium Ukrainy, jest w jurysdykcji Patriarchatu Moskiewskiego. Metropolita – przedstawiciel tego patriarchatu, w ławrze ma swoją rezydencję. Warto bowiem wiedzieć, że na Ukrainie działają trzy kościoły prawosławne: Ukraińska Cerkiew Prawosławna Patriarchatu Moskiewskiego (jej początek historycy, choć nie wszyscy, wiążą z wielką schizmą wschodnią 1054 r.), Ukraińska Cerkiew Prawosławna Patriarchatu Kijowskiego (działa od 1992 r.) i Ukraińska Autokefaliczna Cerkiew Prawosławna (od 1921 r.). Ta pierwsza wspólnota prawosławna ma na Ukrainie dwa razy więcej parafii niż dwie pozostałe razem. Czwarta wielka organizacja religijna o rodowodzie prawosławnym, podległa Watykanowi Ukraińska Cerkiew Grekokatolicka (zwana też ukraińsko-bizantyjską lub unicką), działa głównie w zachodnich obwodach Ukrainy. Wydzieliła się z rosyjskiej cerkwi prawosławnej w wyniku unii brzeskiej w 1596 r., a w latach 1946-1989 była w konspiracji.

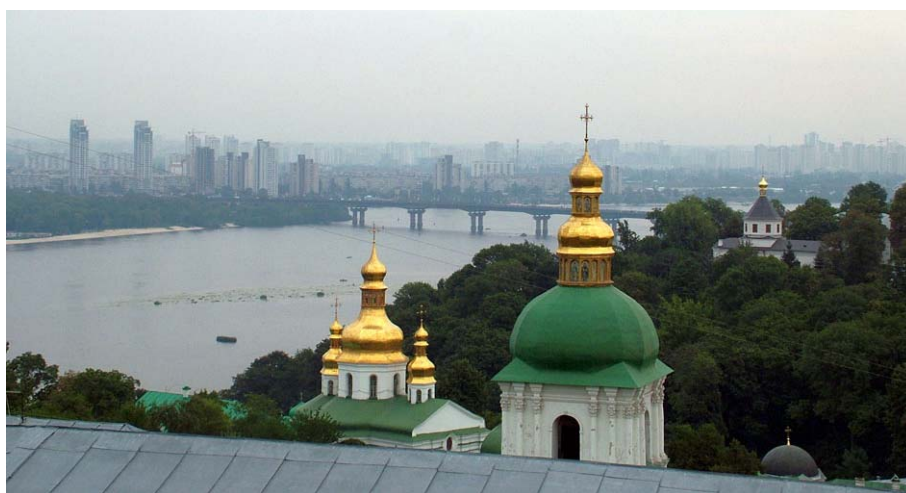
Janusz Fuksa

Fot. Janusz Stróżyński

1941 r. legł w gruzach, ale dziś ta świątynia, odbudowana w 2000 r. od podstaw, błyszczy w słońcu wszystkimi swoimi złotymi kopułami.

Współcześnie górna część ławry stanowi muzeum państwowe. Można tu zwiedzić skarbiec, czyli muzeum kosztowności, gdzie zgromadzono tysiące świeckich i religijnych eksponatów ze złota, srebra i kamieni szlachetnych, począwszy od złotego pektorału władcy scytyjskiego poprzez złoczone cerkiewne kielichy i monstrancje do współczesnych ozdób jubilerskich. Eksponatów pilnują dyżurne salowe, uzbrojona milicja i przemysłne zabezpieczenia. Warto zwiedzić wystawę mikrominiatur Nikołaja Siadristego. To tu można oglądać pod mikroskopem pchłę podkutą złotymi podkówkami i włos wzdłużnie przewiercony z różyczką w środku. W muzeum drukarstwa eksponuje się najstarszą księgę z 1574 r., pochodzącą ze Lwowa, i najstarszą księgę wydrukowaną w ławrze w 1620 r. Atrakcją jest wejście na wielką dzwonicę, skąd roztacza się rozległy widok na zalesione wzgórza ławry, szeroki Dniepr i lewy niski brzeg z Darnicą. Na wieży można podziwiać bijące co kwadrans kuranty, a na specjalne życzenie wysłuchać koncertu gry na dzwonach.

W dolnej części ławry gospodarzą zakonnicy. W cerkwiach wierni w oparach dymu ze świeczek słuchają śpiewów cerkiewnych w wykonaniu chórów. W podziemiach Bliskich i Dalekich



Widok z ławry na Dniepr i Darnicę

Kraj nad Nilem – podróż życia

Podróżowanie to dla niektórych sposób życia, ucieczka od rzeczywistości lub odpoczynek, a dla mnie to przede wszystkim pretekst do poznawania nowych kultur, miejsc, ludzi, potraw, w zasadzie wszystkiego, co tylko można. Najbardziej niesamowite jest to, że można zobaczyć, dotknąć i poczuć na własnej skórze to, o czym się czytało, podziwiano na fotografiach, a nawet uczyło w szkole. To niezwykła przyjemność na własne oczy zobaczyć coś, o czym się marzyło, analizowało w głowie, jest to zupełnie niepodobne do niczego innego i niebywale fascynujące. Dodatkową zaletą podróżowania jest to, że stanowi odskocznię od rzeczywistości i umożliwia „naładowanie akumulatorów” na cały rok, a przynajmniej na mnie ma taki zbawienny skutek.

Dla niektórych „podróż mojego życia” wydawać się może mało ekscytująca, a miejsce podróży bardzo popularne i mało wyszukane. Dla mnie jednak było spełnieniem marzeń i wielką niespodzianką. Celem podróży mojego życia był **Egipt**. Były to wakacje spędzone z rodzicami, organizowane przez biuro podróży, a miały miejsce w czerwcu. Nie jest to może nic niezwykłego, ani szalona przygoda i organizowanie podróży na własną rękę, ale nie to jest w tym przypadku istotne. Najważniejsze jest to, że były spełnieniem moich dziecięcych marzeń. Zawsze fascynowała mnie historia i architektura tego kraju. Uwielbiałam uczyć się, na lekcjach historii w szkole podstawowej o egipskich bogach, obrzędach, świątyniach, piramidach itp. Ta kultura i architektura fascynowały mnie przez lata. Tym większą przyjemność zrobił mój tata informacją, że na wakacje zabiera mnie i mamę właśnie do Egiptu. Miejsca wymarzonego i wysnionego.

Mieszkaliśmy w Hurgadzie, jednym z egipskich kurortów. Hotel był ładny i wygodny, blisko niebywale słonego morza, obsługa wyjątkowo uprzejma, a jedzenie smaczne. Początkowo byłam ostrożna wiedząc, że wielu turystów uskarża się na dolegliwości żołądkowe zwane „zemstą faraona”. Pod tym względem faraon postanowił mnie jednak oszczędzić, ale wysłał za karę wyjątkowo kąśliwą mrówkę, która ugryzła mnie w stopę. Urosła ona do dosyć okazałych rozmiarów i bardzo bolała, ale na szczęście nieopodal hotelu była apteka, w której pracowała bardzo życzliwa i zaangażowana pani (jedyna kobieta pracująca jako sprzedawczyni, którą spotkałam w Egipcie), która sprzedała dobre maści. Była to jedyna nieprzyjemna rzecz jaka spotkała mnie w Egipcie. Może jeszcze pierwszy kontakt z sprzedawcami egipskimi był niezupełnie przyjemnym doświadczeniem. Nie wiedziałam, jak mam reagować na ciągłe zaczepki i przenikliwe spojrzenia. Nie byłam początkowo świadoma tego, że oni po prostu chcą sprzedać swój towar, ponieważ zarabiają skandalicznie mało i mają taką właśnie mentalność i sposób pozyskiwania klientów, zwłaszcza turystów. Z dnia na dzień zaczęłam się przyzwyczajać do ciągłego mówienia „Dzień dobry”. Nie wiem, jak sprzedawcy to robili, ale bardzo rzadko mylili się co do pochodzenia turystów i wszystkich raczyli powitaniem w ich języku. Znali jeszcze kilka polskich słów, np. „dobra cena” czy „kocham cię”, używanych często w nieodpowiednich, komicznych momentach. Musiałam też nauczyć się targować. Kiedy poznałam sytuację materialną Egipcjan, wcale nie chciałam tego robić, biorąc pod uwagę, że dolar egipski w przeliczeniu na złotówki wypadł mizernie, więc ceny nie były wówczas zbyt wygórowane. Dowiedziałam się jednak, że dla nich negocjacje są rzeczą zupełnie normalną, można nawet powiedzieć, że nietargowanie się jest w złym guście i można w ten sposób kogoś urazić. Z czasem stało się to nawet zabawne. Specjalnie wychodziłam ze sklepu, jak nie spodobała mi się kolejna propozycja obniżenia ceny, wiedząc doskonale, że sprzedawca za mną wyjdzie i dobijemy targu oboje uśmiechnięci i zadowoleni.

Nie jestem w stanie wytrzymać dwóch tygodni w jednym miejscu, dlatego podczas wyjazdów za granicę



Piramidy widziane od strony miasta

korzystam z wycieczek fakultatywnych i innych możliwości poznania ciekawych miejsc w danym kraju. Pierwszą wycieczką była podróż do **Kairu**, bo wprost musiałam zobaczyć jeden z cudów świata na własne oczy. Podróż trwała kilka godzin i była dosyć ekscytująca. Ze względu na bezpieczeństwo turystów na tak długich dystansach turyści przemieszczają się autokarami, które jadą w karawanie. W tym przypadku liczyła ona około dwudziestu pojazdów. Wydawać by się mogło, że nie ma nic ekscytującego w „ciągnięciu” się za sobą autobusów. Nic bardziej mylnego. Tym bardziej, że kierowcy wcale nie jadą jeden za drugim, ale się wyprzedzają, zajeżdżają sobie drogę i robią bardzo niespodziewanie rzeczy na wyjątko-



Wieś w Górnym Egipcie

wo wąskich, często żwirowych drogach. Obszar za kurortem prezentował się zupełnie inaczej. Widać było wszechobecną biedę. Zmienił się również krajobraz na bardziej górzysty i żwirowy. Ciekawym elementem są niewykończone budynki, zarówno domy jednorodzinne, jak i budynki wielokondygnacyjne. Ze wszystkich wystają zbrojenia, widać jednak, że są zamieszkałe, ponieważ są wyposażone np. w anteny telewizyjne. Powodem takiego stanu jest egipskie prawo budowlane, które stanowi o tym, że dopóki budynek nie jest wykończony, nie trzeba płacić podatków. Widać, że nie tylko Polacy kombinują, jak obejść obowiązki prawne.

Wreszcie dotarliśmy do tego niebywale dla mnie ogromnego miasta. Nikt nie wie, ilu ludzi rzeczywiście w nim mieszka, może 17 mln, a może już 20. Jest ogromne, bardzo różnorodne, a przede wszystkim hałaśliwe i zatłoczone, co jest zupełnie oczywiste biorąc pod uwagę ilość osób na metr kwadratowy. Największe wrażenie wywarło ma mnie **miasto umarłych**, zamieszkałe przez około 2 mln ludzi. Ciężko jednak mówić o jakimkolwiek mieszkaniu, raczej o smutnej egzystencji. Ludzie ci na stosunkowo niewielkiej powierzchni żyją na zgłiszczach po trzęsieniu ziemi i terenie cmentarza, w zasadzie na grobach ludzi. Śmierć i narodziny towarzyszą tam sobie w sposób naturalny. Jest to przerażający widok, skłaniający do przemyśleń i zadumy. Kair to jednak nie tylko bieda, ale również fascynujące zabytki i eksponaty. W **Muzeum Kairskim** zobaczyć można przedmioty, które pochodzą z czasów faraonów i nadal prezentują się wyjątkowo. Jest tam sala z mumią, sarkofagi, posągi itd. Nie jest to takie muzeum jak w Polsce, zaciszne, skłaniające do zadumy i kontemplacji. Jest bardzo zatłoczonym, głośnym, tętniącym życiem miejscem, w którym słychać niezliczoną ilość różnych języków. Chciałabym, aby muzea w Polsce przyciągały tylu turystów, co muzea światowego formatu, do których z pewnością zaliczyć można Muzeum Kairskie ze względu na wyjątkowość eksponatów.

Nadszedł moment na najważniejszy punkt wycieczki, czyli **piramidy w Gizie**. Wyobrażałam sobie, że są to gigantyczne konstrukcje i że ten efekt potęgować będzie brak porównania do innych budowli, ponieważ zlokalizowane będą na pustyni, w oddaleniu od miasta, a jedynie w towarzystwie piasku. Okazało się, że moje wyobrażenia nijak się mają do rzeczywistości. Giza jest obecnie traktowana jako przedmieście Kairu, a piramidy widoczne są z samego miasta i niejako wpisują się w jego krajobraz. Tak jak przypuszczałam, robią wrażenie, są ogromne, choć może trochę mniejsze niż myślałam. Niewiarygodne, że liczą sobie już 4,5 tys. lat, wciąż stoją i zachwycają swą wysokością i konstrukcją. Patrząc na nie starałam się sobie wyobrazić, jak Egipcjanie tworzyli ten jeden z siedmiu cudów świata bez fachowego sprzętu, np. dźwigów. Wydaje się, że współcześni nie podolaliby stworzeniu tego dzieła bez nowoczesnych udogodnień. Bezpośrednio przed piramidami, patrząc od strony Kairu, dumnie prezentuje się Sfinks, wprawdzie bez nosa, co wcale nie odejmuje mu majestatu i wyjątkowości. Jest po prostu piękny i doskonale się tam komponuje. W kulturze egipskiej sfinks był symbolem władzy królewskiej. Przedstawiany był jako postać leżącego lwa z ludzką głową, a nierzadko także twarzą faraona. Towarzyszył wielu starożytnym budowlom, ale ten z Gizy jest zdecydowanie najbardziej popularny.

Cdn.

Patrycja Wieleba

Santo Antão – raj turystyki aktywnej

Coraz mniej jest atrakcyjnych, egzotycznych, a przy tym w miarę dostępnych (kosztowo) miejsc, gdzie moglibyśmy doznać niezwykłych wrażeń podczas wędrówek. Warto więc wybrać się, oszczędzając wprawdzie sporo w ciągu roku, na najbardziej zachodnią wyspę Barlavento, czyli Wysp Zawietrznych, w Republice Zielonego Przylądka – a propos: przylądek ten jest w Senegalu, czyli na kontynencie afrykańskim. Santo Antão stanowi równocześnie najdalej usytuowany fragment Afryki z klimatem podrównikowym, aczkolwiek lokalnie silnie zróżnicowanym.

Wyspa ta należy do najmłodszych w najbardziej południowym archipelagu Makaronezji, która obejmuje ponadto Azory, Maderę i Wyspy Kanaryjskie, i jak one ma pochodzenie wulkaniczne. Stopniowe odsuwanie się płyty afrykańskiej na wschód spowodowało głębokie pęknięcia w dnie oceanicznym, przez które wybijała ku górze ciemna lava z typu bazaltowego. Miało to miejsce w czwartorzędzie, około 100-50 tys. lat, co w przybliżeniu odpowiada „naszemu” ostatniemu zlodowaceniowi Wisły. Płonące potoki wylewały się na południe, stąd od tej strony – gdzie rozwija się

główny port Porto Novo, przyjmujący m.in. promy z sąsiedniej wyspy São Vicente (tylko tak można się tu dostać, korzystając z kolei z przelotu z Sal), rozciąga się dość rozległe, półpustynne podnóże gór. Ich postrzępiony łańcuch, dziki i rozległy, przebiega w poprzek tego skrawka lądu, zajmującego 779 m i zamieszkałego przez nieco ponad 47 tys. mieszkańców. Najwyższy punkt osiąga on w Topo de Coroa (1982 m), drugim po Fogo co do wysokości w tym państwie. Nie jest on łatwy do osiągnięcia z powodu bezładnych głazowisk i jednoznacznych ścieżek, wysokich temperatur latem, przy czym zimą w wyższych partiach spadają one do 10°, i kompletnego braku wody. Tu trzeba poruszać się tylko z miejscowymi przewodnikami, niezbyt drogimi, ale których wiedza ogranicza się jedynie do znajomości trasy.

Inaczej prezentuje się północno-wschodnia część wyspy – głęboko rozdoliniona, nawet do kilkuset metrów głębokości. Owe przepiękne formy terenu zwane są *ribeira*, podczas gdy doliny na nizinach to *val*. Tu powstały górskie osady, wspinające się w rozproszeniu i z tarasowymi poletkami wysoko na stoki w konsekwencji odkrycia Santo Antão w dzień tego świętego w 1462 r. przez Portugalczyków. Wymieszali się oni w następnych stuleciach z Murzynami, sprowadzonymi niewolniczo z Afryki Zachodniej,



Alto Mira – wioska wśród gór



Widok z Delgadiño

oraz innymi osadnikami w społeczność Kreolów, uważających się za odrębny naród. Posługują się też oni – obok oficjalnego portugalskiego, własnym językiem kreolskim o pewnych różnicach na poszczególnych wyspach, zwłaszcza w doniesieniu do Sotavento (Wysp Podwietrznych). Tutaj w Ribeira Grande – przez długi czas największej miejscowości na wschodnim wybrzeżu, znajdowała się w latach 1872-1934 stolica Barlavento. Roślinność jest w dolinach obfita, w dużej mierze składająca się z importowanych roślin uprawnych, jak jam, bananowce, trzcina cukrowa (podstawa wyrobu miejscowej sławy – tzw. grogu, w istocie alkoholu o silnym posmaku bimbru, i ponczu – słodkawej i słabszej jego odmiany). Korzysta ona ze znacznie większych opadów niż gdzie indziej, bowiem pierwsza otrzymuje deszczonośne wiatry znad Atlantyku. Niekiedy jednak powodują one burzowe powodzie, zamieniając niektóre odcinki *ribeir* w jeziora.

Przez owe *ribeiry* wiodą brukowane asfaltem drogi, zapierające dech w piersiach – strome i kręte, przeciskające się między skalnymi ścianami. Trasa Porto Novo – Ribeira Grande w poprzek wyspy i gór zaliczana jest do najpiękniejszych na świecie, nie ustępuje jej wariant do Ribeiry de Torre, która zawdzięcza nazwę osobliwemu wzniesieniu przypominającego wyniosłą wieżę, przez skalną grań Delgadiño. Dzięki niej można poznać powstałą na wysokości 1000 m kalderę Cova de Paúl, na dnie której uprawia się rozległe pola. To wszystko do samochodziarzy i rowerzystów, wyposażonych wszakże w rowery górskie. Na razie bardzo ich mało, tym większa frajda z podróżowania. Wiosek czy osad jest sporo, choć oddalonych między sobą, więc da się przeżyć.

Największe możliwości mają górolazi – w centralnej i północno-wschodniej części jest sporo tras, miejscami współużytkowanych przez pojazdy, generalnie brukowanych bazaltową kostką i posiadających niekiedy ochronne murki boczne. Niektóre z nich są oznakowane, jak na europejski gust – trochę dziwnie: a to dziwnymi symbolami, a to numerami. Pod górę i w dół, z widokami na ostre szczyty i przepaściste *ribeiry*. Do najwspanialszych szlaków należy wytyczony jeszcze przez Portugalczyków po północnym klifie. Niektórzy startują już z Ponta do Sol, które próbuje się rozwijać w ośrodek turystyczny, ale można skrócić sobie drogę dojeżdżając do osady Fontainhas, połączonej dróżką dojazdową przez portugalskiego gubernatora mającej w niej swoją kochankę. Dalej piesza ścieżka w typie ceprostrady, falująca i wecinająca się w zakola klifu, poniżej kłębiące się fale oceanu – widoki dech zapierające. I mało turystów, chodzących na lekko i plecakowców. Trasy zaś wewnątrz wyspy to nieustanne podchodzenie i schodzenie, to szerszą dróżką, to wykutą w skale ścieżką. A wszystko w otoczeniu czarnych, niekiedy lekko zwietrzałych, ze skąpą przyżółconą roślinnością wulkanicznych masywów.

Można uprawiać i inne aktywne formy turystyki czy raczej rekreacji. Jest trochę koni pod wierzch, pojawiają się pierwsi miłośnicy kanioningu, wiele jest miejsc do nurkowania przybrzeżnego i penetrowania w ten sposób różnych zakamarków w bazaltowych podwodnych stokach, przybierających niekiedy rozmiary dużych pieczar.

Nie ma problemu z dotarciem i zakwaterowaniem, częste wyjazdy zbiorowe organizują już niektóre polskie biura podróży, choć chętnych na przedstawione wędrówki bywa niewiele – i chyba to dobrze. Ostatni raj? Albo jego namiastka?



Szlak na klifie



Znak szlaku klifowego

Krzysztof R. Mazurski

„Rocznik Jeleniogórski” ma już pięćdziesiąt lat

Pięćdziesiąt lat, jakież to wspaniałe jubileusz, zwłaszcza dla pisma dokumentującego życie mieszkańców w naszym regionie! Rzadko zdarza się, żeby tego typu pismo przetrwało pół wieku, zwłaszcza, że ostatnio wydawane jest siłami społecznymi. Jego twórcy korzystają jedynie z dotacji pozyskiwanych na ogólnych zasadach. Co prawda, wydany właśnie „Rocznik Jeleniogórski” oznaczony jest numerem czterdziestym piątym, co wynika z krótkich przerw, niemniej trzeba przyznać, że jego twórcom udało się zachować ciągłość, zwłaszcza, gdy do wyliczeń przyjmujemy jeszcze wydane suplementy, których było cztery. W sumie „Rocznik Jeleniogórski” to ponad 11 tys. stron; 662 teksty, 110 recenzji oraz kronika historyczna obejmująca okres od 1945 r. Pismo to jest skarbnicą wiedzy o regionie Karkonoszy, można w nim znaleźć wszystko, co było ważne i dla naszego miasta. Musiał na to pracować cały sztab ludzi. Autorów tekstów było ponad trzystu. Rzecz niewyobrażalna. Początkowo, gdy pismo było finansowane z pieniędzy państwowych, wszyscy otrzymywali wynagrodzenie za swoją pracę. Obecnie, od wielu już lat, gdyby nie praca społeczna wielu osób, pismo pewnie by zniknęło z naszego życia. Byłaby to strata nie do odrobienia, dlatego trzeba cieszyć się z każdego pozyskanego współpracownika i podejmować wszelkie możliwe próby zdobycia finansów potrzebnych, by „Rocznik Jeleniogórski” wciąż się ukazywał.

Pół wieku to jubileusz na tyle poważny, że wypadało zorganizować przyjęcie urodzinowe. Tak też uczyniono. Przybyłych na tą uroczystość przyjęto w sali Muzeum Przyrodniczego w Jeleniej Górze Cieplicach. W imieniu wydawcy, czyli Towarzystwa Przyjaciół Jeleniej Góry, przywitał wszystkich jego przewodniczący Ivo Łaborewicz. To właśnie on przybliżył wszystkim wiadomości o „Roczniku”. Wspomnił jego początki i przypomniał wiele nazwisk związanych z tym pismem, w tym Czesława Margasa, którego kroniki jeleniogórskie ukazują się niezmiennie od początku. Pierwszym redaktorem był Kazimierz Wagner. Jego sylwetkę przedstawiono wyświetlając krótki film. W następnych latach pojawiały się kolejne nazwiska: Stanisław Bernatt, Borys Jarmoluk, Stanisław Lejda, Zbigniew Kilar, Wiesław Wereszczyński, Marian Iwanek, no i oczywiście Ivo Łaborewicz. Z „Rocznikiem” współpracowali m. in. Adolf Andrejew, Tadeusz Bugaj, Zbigniew Dygdałowicz, Zbigniew Daroszewski, Zbigniew Domosławski, Stanisław Firszt, Maria Jarmoluk, Ryszard Kincel, Jerzy Kolankowski, Jacek Kolbuszewski, Zbigniew Kulik, Romuald M. Łuczyński, Krzysztof R. Mazurski, Janusz Milewski, Alina Obidniak, Marek Obrębalski, Stanisław Olbrycht, Janusz Ptaszyński, Andrzej Paczos, Henryk Piecuch, Tadeusz Rzęsista, Roman Stelmach, Henryk Szoka, Marek Wikorejczyk, Przemysław Wiater, Romuald Witczak, Roman Zgłobicki, Edward Zych. Nie są to oczywiście wszyscy, ale nie sposób wymienić ich w tak krótkim tekście.

„Rocznik Jeleniogórski” swoją wyjątkową pozycję zawdzięcza właśnie takim ludziom. To ich praca, poświęcenie i chęć dokumentowania, nieraz, wydawałoby się, niezbyt ważnych faktów z naszego życia przyczynia się do utrwalania nowej historii, tej, która powstaje na naszych oczach. Nic zatem dziwnego, że na uroczystość tak licznie przybyli ludzie interesujący się regionem. Irena Kempisty w imieniu prezydenta Miasta Jelenia Góra - Marcina Zawily - odczytała list gratulacyjny. Do słów uznania przyłączył się Witold Szczudłowski ze Związku Gmin Karkonoskich. Na spotkanie przybył także burmistrz Miasta Kowary Mirosław Górecki oraz Agnieszka Łętkowska z Dolnośląskiego Zespołu Parków Krajobrazowych. Dla uświetnienia tak wspaniałego wydarzenia wystąpili Urszula i Andrzej Gniewek z fundacji „Karkonosze – Muzyka Serc”. Zaprezentowali oni m. in. utwór zachęcający wszystkich słuchających do wejrzenia we własne serce, do odwiedzenia tego cudownego miejsca, w którym możemy dojrzeć wszystkie nasze marzenia.

Zapewne bardziej spostrzegawczy zauważyli, że na okładce „Rocznika” 2013 umieszczono zdjęcie, przedstawiające budynek Muzeum Przyrodniczego w Jeleniej Górze. Nie jest to dzieło przypadku. Zbiory muzealne



ponownie trafiły do obiektu, w którym były pierwotnie. Nic więc dziwnego, że gdy dyrektor muzeum zaproponował oprowadzenie po budynku, wszyscy skorzystali z tego. Wycieczka ta była pięknym podsumowaniem obchodzonego jubileuszu. Stanisław Firszt znany jest nie tylko z tego, że posiada ogromną wiedzę, ale także z tego, że przekazując ją potrafi zachęcić słuchaczy do zadawania pytań. Podczas spaceru korytarzami ozdobionymi odrestaurowanymi freskami, przedstawiającymi sceny z życia św. Bernarda z Clairvaux, mogliśmy wysłuchać puszczonej w tle pieśni śpiewanych przez zakonników. Znakomicie wprowadzało to stosowny nastrój. Mieliśmy także możliwość obejrzenia starych gablot muzealnych. Dzięki ich przetrwaniu mamy zupełnie nieoczekiwane zakończenie powojennej wędrówki przechowywanych tu zbiorów. Po kilkudziesięciu latach wracają one zarówno na swoje pierwotne miejsce, jak i (przynajmniej niektóre) do swoich gablot. Najwięcej jednak słów zachwytu wydali wszyscy podczas pokazu możliwości, jakie daje Wirtualne Muzeum Barokowych Fresków na Dolnym Śląsku. Jest to pierwsze tego typu muzeum na świecie. Jego powstanie było współfinansowane przez Unię Europejską z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego dla Województwa Dolnośląskiego na lata 2007-2013. Dzięki zastosowaniu nowych technologii mamy tutaj możliwość obejrzenia fresków znajdujących się na terenie dwudziestu dolnośląskich obiektów. Nie musimy wcale wybierać się w podróż lub zastanawiać, czy dany zabytek jest udostępniony do zwiedzania. Całe piękno, zawarte w zachowanych freskach, możemy obejrzeć bezpośrednio w Muzeum Przyrodniczym. Do tego obraz rzucony na ścianie można tak powiększyć, że dostrzeżemy niemal każde pociągnięcie pędzla artysty. W rzeczywistości, będąc w konkretnym obiekcie, nie mamy możliwości tak szczegółowej obserwacji malowideł nawet przy użyciu lornetki. Nie ma zatem co się dziwić słowom zachwytu, jakie co rusz wyrwały się z ust zwiedzających. Spacer zaproponowany przez Stanisława Firsztę był znakomitym podsumowaniem jubileuszu półwiecza „Rocznika Jeleniogórskiego”.

Krzysztof Tęcza

Miłośnicy Łuzyc w Żarach zjednoczyli się

W dniu 13 stycznia br. w Gabinetcie Łużyckim im. prof. J. P. Majchrzaka KTTK w Żarach (ul. Bohaterów Getta 22b) osiemnastoosobowa grupa żarskich i żagańskich naukowców, nauczycieli, kresowian, samorządowców, krajoznawców i muzealników powołała pierwszy na Łużycach Wschodnich Oddział zasłużonego w Polsce Towarzystwa Polsko-Serbołużyckiego (założonego w Warszawie w 1991 r., z oddziałami w Sochaczewie, Warszawie, Wrocławiu, Poznaniu i Opolu – pierwszy prezes dr Zbigniew Gajewski). Towarzystwo kontynuować będzie prołużycką działalność Kresowego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego im. Orłąt Lwowskich w Żarach, przypominać będzie dorobek nieistniejących Stowarzyszenia Promocji Łuzyc Wschodnich w Żarach i „Przeglądu Wschodniołużyckiego” (i żarskich zasłużonych sorabistów Witolda Piwońskiego, prof. Tomasza Jaworskiego, dra Lecha Malinowskiego, dra Leszka Kaczmarskiego, Janusza Solarza, prof. Jerzego Piotra Majchrzaka i wielu innych).

Ziemia żarska, bogata w 1600-letnią historią Serbów Łużyckich, nadal obecną w nazwach miejscowych, grodziskich, chatach łużyckich, w pięknie krajobrazu („krajina parków i ogrodów”), w pamięci o lubanickim Ojcu pisanego języka dolnołużyckiego i jakże licznych wielkich Łużyczanach – najbliższej sąsiaduje z Budziszynem i Chociebużem – stolicami najbliższej z Polakami spokrewnionych Serbów Łużyckich i ich fascynującą kulturą. Gościnni żaranie, w tym władze i instytucje, pragną ułatwiać polsko-łużycką współpracę, być gospodarzami spotkań i kulturalnych wydarzeń. Chroniąc łużyckie dziedzictwo narodowe, pamiętamy również o ofierze życia 22 tys. polskich żołnierzy, którzy w ostatnich dniach wojny zginęli na Łużycach dla „wolności naszej i waszej”, o wspólnych dziejach. We współdziałaniach z bliźniaczymi organizacjami promować będziemy też turystykę, aktywność gospodarczą i przedsiębiorczość mieszkańców Łuzyc – tak Serbów, Polaków, jak i Niemców.

Zarząd najmłodszego Oddziału TPS w Żarach (Józef Tarniowy – prezes, Jan Tyra – wiceprezes, Jacek Jakubiak – sekretarz, Edward Kondratiuk – skarbnik, dr Tomasz Fetzki – członek), a także Komisja Rewizyjna Oddziału (Janusz Popławski – prezes, Józef Paluch, Wanda Siwak – członkowie) kontynuować będą organizację corocznych Dni Kultury Serbołużyczan w Żarach (3. października br. już piąte), Ogólnopolskich Rajdów Samochodowych po Łużycach „Szlakiem Bitew, Cmentarzy, Pomników Kresowych żołnierzy II Armii Wojska Polskiego” (28. kwietnia br. – IX Rajd), koncertów, sejmików krajoznawczych, wystaw, wieczorów autorских. Pomnażane będą zbiory Gabinetu Łużyckiego, już bogate dzięki darowiznom Patrona – prof. Jerzego

Piotra Majchrzaka oraz Instytutu Sławistyki Zachodniej i Południowej Uniwersytetu Warszawskiego (KTTK zaprasza do korzystania z księgozbioru). Dziękujemy za deklaracje bieżących czasopism łużyckich. Priorytetowym zadaniem będzie przygotowanie „łużyckiej” części organizującego się Muzeum Pogranicza Śląsko-Łużyckiego w Żarach, które właśnie otrzymało piękny XV-wieczny budynek dawnej nadintendentury.

Jesteśmy zaszczytni bliską współpracą ze związkiem Serbów Łużyckich „Domowina”, Towarzystwem Studiów Łużyckich, Stowarzyszeniem Polsko-Serbołużyckim „Pro Lusatia” i pragniemy ją pielęgnować.

Osoby, zainteresowane czynnym działaniem prołużyckim (aktywnych w przeszłości i tych, którzy właśnie odkryli w sobie tę pasję), zapraszamy do Oddziału TPS w Żarach – Gabinet Łużycki im. prof. J. P. Majchrzaka, Żary, ul. Bohaterów Getta 22b, tel. 68-479-13-77, e-mail: muzeumzary@wp.pl.

Józef Tarniowy

Spotkanie w Muzyku

Dla uczczenia zasług wrocławskich nauczycieli dla turystyki i krajoznawstwa Klub Krajoznawczo-Turystyczny Nauczycieli PTTK im. Benedykta Polaka „Turkus” w Oddziale PTTK przy Instytutach PAN z inicjatywy i pod kierownictwem jego założyciela i wieloletniego prezesa Kazimierza Tumskiego zorganizował 31. stycznia br. uroczyste spotkanie w Klubie Literatury i Muzyki, zwanym popularnie *Muzykiem*.

Zaczęło się ono od sympatycznego koncertu fortepianowego młodej, ale coraz bardziej znanej Zofii Zbroi, potem było wystąpienie inicjatora, który mówił o swojej działalności w PTTK. Dokumentacja jej stanowiła zasadniczą część promowanej



**Drugi od lewej – Kazimierz Tumski,
drugi od prawej – Andrzej Gordon**



**Honorowi Członkowie PTTK – Bronisław Zathey (z lewej)
i Krzysztof R. Mazurski**

książki „Sukcesy nauczycieli krajoznawców Wrocławia” w postaci różnego rodzaju osobistych dokumentów. Jej uzupełnieniem były artykuły Krzysztofa R. Mazurskiego o wartościach szkolnego ruchu krajoznawczo-turystycznego i Stefana Mizi o realizowanym przezeń autorskim programie klasy turystycznej. Na końcu zawarto wykazy zasłużonych i wyróżnionych nauczycieli.

Głos zabrali też goście, m.in. przedstawicielka Kuratorium Oświaty i Wychowania, wiceprezes ZG PTTK Andrzej Gordon, którego małżonka Elżbieta Matusiak-Gordon zapewniła serwis fotograficzny, podczas gdy przewodniczący Komisji Fotografii Krajoznawczej ZG PTTK Jerzy Maciejewski

rzecz całą sfilmował. Inne osoby, podkreślając znaczenie krajoznawstwa w edukacji szkolnej, eksponowali zasługi swoich nauczycieli dla własnego wykształcenia. Wszyscy gratulowali osiągnięć Kazimierzowi Tumskiemu, który w 2011 r. jako jeden z pierwszych otrzymał tytuł „Nauczyciela Kraju Ojczystego”.

Redakcja

Fot. Elżbieta Matusiak-Gordon

Wystawa na jubileusz Kowar

Wszyscy mi mówią, że nie jesteś piękna, moja rodzinna ziemi...

Johanna Ambrosius

W niedzielę 9. marca br. w kowarskim „Gościńcu na Starówce” miało miejsce oficjalne, uroczyste otwarcie wystawy czasowej „500 lat miasta – ciekawostki” przez niżej podpisanego – dra Zbigniewa Piepiorę, pracownika naukowo-dydaktycznego Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu, oraz Roberta Andrzejewskiego – kowarzanina, fascynata historii, staroci i tajemnic przeszłości. W wydarzeniu uczestniczyło kilkadziesiąt osób: mieszkańcy Kowar i okolic oraz licznie przybyli turyści, m.in. z województw dolnośląskiego i lubuskiego.

Na wystawie, która została zorganizowana dzięki uprzejmości Danuty Piepiory, można obejrzeć fotografie przedmiotów i miejsc związanych z miastem, wykonane przez niżej podpisanego i opisane przez Roberta Andrzejewskiego. Zaprezentowano na nich m.in. jeden z czerwonych buków, które zostały posadzone w 1896 r. w celu upamiętnienia wizyty poetki Joanny Ambrosius w Kowarach; dąb Ottona von Bismarcka, który posadzono 1.04.1895 r.; żeton Męskiego Towarzystwa Gimnastycznego, upamiętniający 60-lecie istnienia tutejszej organizacji; znaczek z okazji 400-lecia miasta, kapsle porcelanowe od napojów; tablice pamiątkowe i reklamy firm związanych z miastem. Cyfrowej obróbki niektórych zdjęć dokonał Krzysztof Grochal. Tło muzyczne wystawy skomponował Michał „DMNSound” Ficek, który specjalnie na tę okoliczność przygotował utwory: „Kowary-Schmiedeberg”, „Ponad 500 lat – Mehr als 500 Jahren”, „Ze Ściegien do Kowar – Aus Steinseiffen nach Schmiedeberg”. W poszukiwaniach historycznych niżej podpisanemu pomogli: Tomasz Dębiński, Halina Młodkowska, Barbara Sokołowska, o. Bogumił Stachowicz, o. Ignacy Tomaszewski, Andrzej Weinke oraz Jerzy Kosacz („Blog Jerzego Kosacza. Trochę treści i obrazki”).

Otwarcie ekspozycji sprowokowało do dyskusji, w której uczestniczyli jedni z najstarszych mieszkańców Kowar. Dyskutowano m.in. o napisach na tablicach pamiątkowych, nieistniejącym ogrodzie jordanowskim czy powodzi z 1964/1965. Wystawę „500 lat miasta – ciekawostki” można oglądać w „Gościńcu na Starówce” przy ul. 1 Maja 23 w Kowarach do połowy kwietnia 2014 r., od poniedziałku do soboty w godz. 10-18.

Zbigniew Piepiora



W Mokrzeszowie wybrano KTG ZG PTTK

W dniach 7-9 marca br. w sudeckim Mokrzeszowie odbyła się Krajowa Konferencja Aktywu Turystyki Górskiej PTTK. Przybyło na nią prawie stu delegatów oraz wielu znamienitych gości, wśród których byli członkowie honorowi naszego Towarzystwa: Zofia Sikora, Zdzisław Kobyłka, Zbigniew Kresek, Edward Kudelski, Marek Staffa, Wojciech Stankiewicz. Przybyli także: Jerzy Kapłon (członek ZG PTTK, będący jednocześnie skarbnikiem Towarzystwa i dyrektorem Centralnego Ośrodka Turystyki Górskiej PTTK), Jarosław Dąbrowski (członek ZG PTTK), Ryszard Wulicz (wiceprzewodniczący Głównej Komisji Rewizyjnej PTTK), Zofia Sikora (przewodnicząca Dolnośląskiego Porozumienia Oddziałów PTTK i prezes Oddziału PTTK „Ziemi

Wałbrzyskiej w Wałbrzychu”), Andrzej Mateusiak (wiceprzewodniczący Dolnośląskiego Porozumienia Oddziałów PTTK i wiceprezes Oddziału PTTK „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze), Grzegorz Błaszczyk (prezes Zarządu Spółki „Sudeckie Hotele i Schroniska PTTK” w Jeleniej Górze).

Po bardzo burzliwych obradach i długich wyborach wybrano nowy skład Komisji Turystyki Górskiej Zarządu Głównego PTTK. Oto on: Jerzy Gajewski z Krakowa

(przewodniczący), Marek Szot z Wrocławia (wiceprzewodniczący), Janusz Konieczniak z Krakowa (sekretarz), Jacek Pielich z Wałbrzycha, Tomasz Dziurawiec z Rzeszowa, Zdzisław Górywoda z Bielska-Białej, Rafał Kwatek z Warszawy, Mikołaj Majewski z Gniezna i Jacek Nowicki z Warszawy. Podczas spotkania uhonorowano wyróżniających się działaczy. Ryszard Bącał oraz Jan Białek otrzymali Medal KTG, a Józef Talik tytuł Zasłużonego Znakarza. Zgłoszono ponad dwadzieścia wniosków, które będą teraz analizowane przez członków Komisji i, jeśli okażą się zasadne, realizowane.

Pozostaje tylko życzyć Kolegom wybranym do Komisji Turystyki Górskiej ZG PTTK sił i wytrwałości w ich pracy oraz wspierać ich działania tak, by przyniosły jak najwięcej korzyści wszystkim uprawiającym turystykę górską.

Krzysztof Tęcza



Członkowie KTG ZG PTTK wybrani w Mokrzeszowie (od lewej): T. Dziurawiec, R. Kwatek, M. Szot, J. Nowicki, J. Gajewski, J. Konieczniak, J. Pielich, M. Majewski i Z. Górywoda

Przyjście wiosny

Naplotkowała sosna,
 Że już się zbliża wiosna.
 Kret skrzywił się ponuro:
 – Przyjedzie pewno furą
 Jeź się najeżył srodze:
 – Raczej na hulajnodze.
 Wąż syknął : – Ja nie wierzę,
 Przyjedzie na rowerze.

Kos gwizdnął: – Wiem coś o tym,
 Przyleci samolotem.
 – Skąd znowu – rzekła sroka –
 Ja z niej nie spuszczaam oka
 I w zeszłym roku w maju
 Widziałam ją w tramwaju.
 – nieprawda! Wiosna zwykle
 Przyjeżdża motocyklem.

– A ja wam dowiodę,
 Że właśnie samochodem.
 – Nieprawda, bo w karecie!
 W karecie? Cóż pan plecie?
 Oświadczyć mogę krótko,
 Że płynie właśnie łódka!
 A wiosna przyszła pieszo.
 Już kwiatki za nią spieszą,
 Już trawy przed nią rosną
 I szumią – Witaj wiosno.

Jan Brzechwa



Nie wszystko złoto, nie wszystko co nowe...

Jest lepsze. *Ci, którzy zdecydują się na wyjście w góry, powinni zabrać ze sobą specjalistyczny sprzęt* – pisałem kiedyś cytując autora tekstu o wyposażeniu turystów. Może zauważyli niektórzy czytelnicy, że jestem zwolennikiem tradycyjnego już, niezbyt nowoczesnego wyposażenia, a do współczesnych technologii mam ostrożne podejście, bez szczególnego entuzjazmu. A może się mylę, pomyślałem, aż tu całkiem przez przypadek jedna z tez, acz zasadnicza, potwierdziła się. Pisałem też: *Mimo wszelkich nowości konstrukcyjnych i technologicznych najlepsze są tradycyjne skórzane buty, tradycyjnie wykończone, z porządnym wi-bramem pod spodem. Na metkach i innych przywieszkach czytamy jakie to te buty są wodoodporne, (...) Do tych zapewnień należy podchodzić z rezerwą.* Z pomocą przyszła styczniowa wycieczka w podtoruńskie lasy, pagórki i grzęzawiska, cokolwiek już rozmrożone. Wycieczka trwała 5 godz. z przerwami na odpoczynek, fotografowanie, filmowanie i przegryzkę, pokonaliśmy około 13 km po leśnych ścieżkach, drogach i, głównie, bezdrożach. Podłoże prawie na całej trasie to śnieg o głębokości około 5-15 cm, czasami rozmiękły i mokry. Dzieci miały na nogach tzw. śniegowce, dorośli – jedna osoba 17-letnie „trapezy” z niegdysiejszego FABOSU, druga współczesne buty turystyczne (pardon – „trekkingowe”) z dumnym napisem „waterproof”. Nie były to buty niewiadomego „chowu” kupowane w supermarkecie, tylko znanej i cenionej chyba firmy specjalizującej się w produkcji obuwia i odzieży do uprawiania *różnych aktywności outdoorowych*, jak głosi jeden z tekstów informacyjno-reklamowych firmy.

Nie jest moim celem deprecjonowanie osiągnięć tej czy innej firmy, bo, jak przypuszczam, to co się przydarzyło „nosicielce” nowoczesnych butów trekkingowych, mogło się przydarzyć właścicielom butów z wielu innych renomowanych firm. Po prostu, nowoczesne technologie niekoniecznie się sprawdzają. Ale do rzeczy. Kilkakrotnie spotkałem się ze zjawiskiem, które jeszcze bardziej naocznie zauważyłem podczas wspomnianej wycieczki. Wydawało mi się, że to może przypadek, ale teraz wiem, że nie. Oto niektóre współczesne modele butów turystycznych nie są, wbrew wszelkim informacjom, naszywkom, wszywkom i reklamom, wodoodporne. Niejeden raz widziałem przemoczone buty, których właściciele kończyli turystyczny dzień z mokrymi stopami, zaś buty odstawiane były w ciepłe miejsce do wyschnięcia, aby nadawały się do użycia następnego dnia. Jak to możliwe? Czytam oto taki tekst: *Obuwie należy użytkować zgodnie z jego przeznaczeniem. Wszelkie informacje dotyczące sposobu użytkowania dostępne u sprzedawcy. Staranne sznurowanie butów zapobiega przetarciu się materiału wewnątrz obuwia. Buty należy czyścić powierzchniowo przy użyciu wilgotnej szmatki lub gąbki. Nie należy prać obuwia w pralce, ponieważ osłabia to spoiny kleju i szycia. Przemoczone obuwie należy suszyć w warunkach pokojowych zdala od silnych źródeł ciepła. Codzienna konserwacja obuwia przedłuża jego żywotność. Środki konserwujące należy dobierać odpowiednio do poszczególnych rodzajów skóry. Natłuszczona skóra zachowuje miękkość i elastyczność, nie pęka, jest chroniona przed przemakaniem, a także podnosi komfort użytkowania.*

Zwracam uwagę na słowo „przemoczone”. Skoro są „waterproof” (ang. nieprzemakalne, wodoodporne), to dlaczego „przemoczone”? Obok wygody w noszeniu nieprzemakalność to podstawowa niezbędna cecha górskiego (turystycznego) buta. Niestety, nowoczesne technologie tej nieprzemakalności nie zapewniają. Nie chodzi przy tym o „ekstremalne warunki”, tylko o zwykłą turystyczną eksploatację. Nikt nie wymaga, by po przejściu w butach w poprzek Wetliny, Skawicy, Dunajca czy Soły buty były suche, jednak po kilku godzinach marszu w przeciętnych zimowych warunkach w butach powinno być sucho! Oczywiście szanujące się firmy produkują także modele nawiązujące do wyrobów tradycyjnych. Są to buty ze skóry wyprawianej i lakierowanej. Ważny jest krój buta, czy stanowi „monolit”, czy jest zszywany z kilku części. Te wieloczęściowe są najbardziej narażone na przemakanie, bo szwy ułatwiają dostęp wody do wnętrza buta. Nie pomogą tu żadne wewnętrzne warstwy, wkładki, membrany i inne cuda. Taki but przemaka szybciej niż tradycyjny. Buty turystyczne (trekkingowe) dobrej klasy popularnej można kupić za 200-400 zł, choć to też niemały wydatek. Przeważnie są rzeczywiście wygodne i w przeciętnych warunkach turystycznych dobrze się sprawują. Gorzej jest, gdy trzeba iść kilka godzin w deszczu lub w śniegu. Tracą wtedy wiele właściwości wymienionych na metkach



„Analiza porównawcza”

i przywieszkach. Buty „sieciowe” z supermarketu to wydatek 80-100 zł. Takiego wydatku nie warto ponosić. Buty te wyglądają „jak prawdziwe”, a w środku plastik i szmatki. Nie nadają się do turystyki. Wiem – sprawdziłem raz i wystarczy. Porządne skórzane buty zapewniające długotrwałą wodoodporność to wydatek znacznie większy niż te klasy popularnej. Ceny zaczynają się od 500 zł, a sięgają 800, a nawet ponad 1000. Oczywiście nikogo nie namawiam do wydawania takiej fury pieniędzy. Popularne, choć czasami nazywane „profesjonalnymi” buty za 3 setki mogą dobrze służyć turyście, jeśli przestrzega zasad eksploatacji wymienionych w informacji dla użytkownika. Są wygodne i szybko schną. Rzecz jednak w tym, aby nie trzeba ich było suszyć po każdej mżawce. Do tego służą rozmaite preparaty impregnacyjne. Niestety, to też tylko namiastka prawdziwej impregnacji. Do czego piję? Oto zwykle „traperzy”, traktowane najzwyklejszą porządną pastą do butów (żaden „błyszczek” czy podobne mazidło), nie wykazały po 5 godz. w śniegu żadnych oznak przemoczenia, zaś nowoczesne, wygodne i opatrzone inskrypcją „waterproof” buty trekkingowe były mokre, aż wstyd. Prawdopodobnie zostaną powleczone miksturą domowego wyrobu wykonaną na bazie wazeliny lub parafiny. Może stracą na wyglądzie, ale zyskają na odporności. Swoją drogą ciekawe, że buty do nart śladowych (biegowych), wykonane z lakierowanej skóry, także są odporne na wilgoć i śnieg. Coś w tym jest, prawda? Przekonałem się o tym wielokrotnie, ostatnio podczas narciarskich styczniowych wypadów.

Juliusz Wysłouch



„Waterproof”?



Prawdziwe „waterproof”

Jadeitowy Pakal

Odnalezienie jadeitowej (składającej się z około 340 elementów!) maski władcy Palenque – króla Pakala, było ogromnym wydarzeniem nie tylko w świecie archeologicznym. Otóż podczas wykopalisk archeologicznych prowadzonych w Meksyku w latach 1942–1952 we wnętrzu Świątyni Inskrypcji odkryto przejście do pomieszczenia grobowego zbudowanego poniżej poziomu podstawy tej budowli w kształcie piramidy. Wewnątrz krypty odkryto sarkofag ze szkieletem Paskala Wielkiego, władcy Palenque zmarłego w 683 r., którego twarz władcy przesłonięta była jadeitową maską. Swego czasu bardzo ciekawie opisywał to wydarzenie „National Geographic”. Znaleźisko owe jest inspiracją dla bardzo różnych środowisk, od odnajdujących w nim pewne paranormalne stygmaty po jubilerów i co bardziej zaangażowanych rzemieślników i to nie tylko w Meksyku, ale i poza jego granicami. Nic dziwnego, że skoro stanowi on atrakcję przyciągającą na miejsce rzesze turystów, to i znajduje odwzorowanie w wielu wyrobach kierowanych właśnie do nich. Mnie udało się „pozyskać” nawiązującą do niego formą i kształtem maskę w pobliskiej Gwatemali, podczas postoju na punkcie widokowym nad Jeziorem Atitlan i górujących nad nim trzech wulkanów: San Pedro, Tolimán i Atitlán. Sprzedawca pierwotnie żądał za nią 300 quetzali, lecz po zaciętych negocjacjach cena osiągnęła poziom 50%. Sprzedający ją chłopiec (pracujące tu dzieci nie są rzadkością i dziwić się tym mogą jedynie przybysze z Europy) rzutem na taśmę podniósł cenę o 10 quetzali, a że pozostali współtowarzysze podróży już sadowili się w pojeździe, a sama maska wyjątkowo podobała mi się, bez większego żalu dołożyłem ten drobny banknot. Sama maska wykonana jest z mniejszych elementów będących kawałkami barwionego na różne kolory szkła. W założeniu nawiązuje ona do maski z grobu Pakala Wielkiego, lecz różnica jest oczywista i wyrób stanowi raczej artystyczną jego wariację. Dla nieco zasobniejszych łowców pamiątek w niektórych sklepach jubilerskich (taki spotkałem w Antigui) oferuje się wierne jej kopie, lecz, przede wszystkim, są one wykonane z tego samego co maska Pakala Wielkiego minerału – jadeitu, a jego wywóz z Gwatemali jest niedozwolony, zaś jej cena zaczyna się powyżej 1.000 dolarów. A za te pieniądze wolę pojechać na inną wycieczkę!

Sobiesław Mazurski
www.mazurski.eu



Wspomnienie o Zbigniewie Szarku

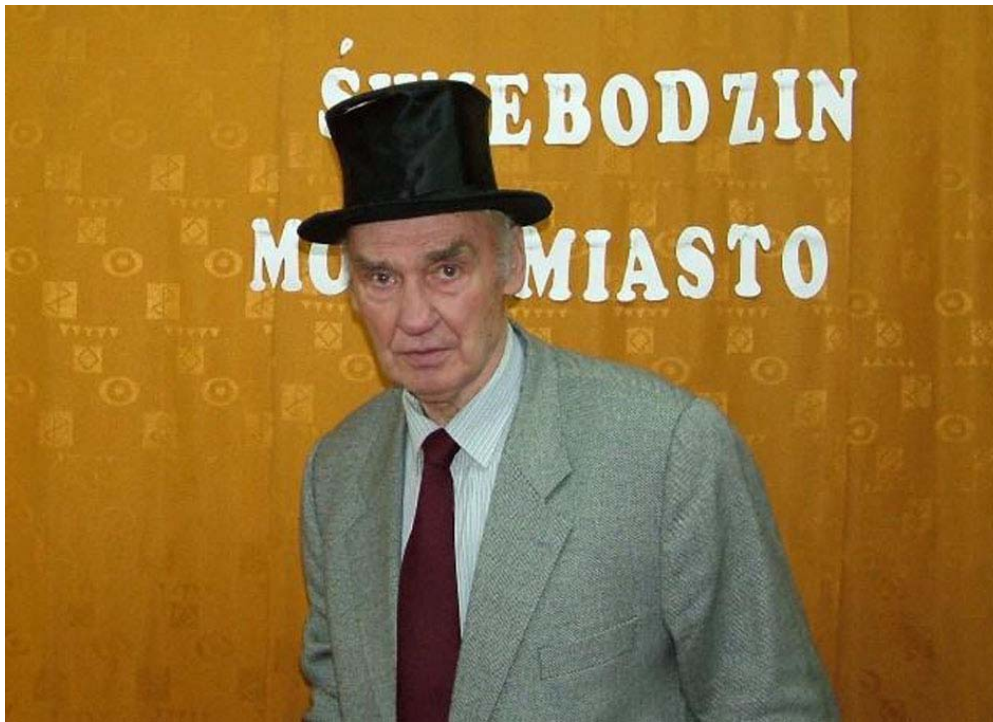
Urodził się 23.02.1930 r. w Wągrowcu. Podczas II wojny światowej zmuszono go do pracy w zakładach elektrycznych, a po niej ukończył liceum. Potem trafił na Ziemię Lubuską, gdzie rozpoczął pracę jako nauczyciel wychowania fizycznego w Toporowie. W latach 1951-1984 pracował w Szkole Podstawowej nr 1 im. Mikołaja Kopernika w Świebodzinie. Uprawiał sport: piłkę nożną, lekkoatletykę, pływanie, boks. Przez uprawianie tej ostatniej dyscypliny miał problemy ze słuchem. Zbigniew Szarek pasjonował się także brydżem sportowym. Był wieloletnim szefem Międzyszkolnego Ośrodka Sportowego w Świebodzinie. W 1977 r. współorganizował Finały Mistrzostw Polski Juniorów w Piłce Ręcznej. Dzięki niemu MOS odnosił największe sukcesy. To także przewodnik i współautor monografii „Dzieje Świebodzina”. Przez 53 lata organizował konkursy historyczne pod nazwą „Świebodzin – moje miasto”. Był również Honorowym Obywatelom grodu Świebodzi, co doceniał, ale się z tym nie obnosił. Jednym zdaniem – człowiek instytucja i swoisty symbol regionu, który propagował.

Poznałem go na obozach karate organizowanych w Łagowie Lubuskim przez KS Funakoshi Shotokan Karate, a wcześniej – MZKS „Olimpia” Kowary. Uczestniczyłem w nich już jako dziewięcioletek z ojcem Januszem i bratem Pawłem. Zbigniewa Szarka znali także inni „olimpijczycy” – przede wszystkim uczestnicy obozów piłki nożnej i siatkowej. Obozy karate odbywają się nadal co roku, jednak te, które miały miejsce w latach 90. zapamiętałem szczególnie. Mieszkaliśmy w Szkolnym Schronisku Młodzieżowym PTSM na Półwyspie, którym Szarek kierował prawie przez czterdzieści lat. Część obozowiczów nazywała go „Dziadkiem”. Schronisko było swoistym skansenem. Niektórzy na świecie płacili i po dziś dzień płacą grube pieniądze, żeby móc przeżyć survival niczym E. M. „Bear” Grylls. Tu można to było mieć za grosze, pod warunkiem, że się nieodpłatnie wykonywało prace użyteczne dla obiektu. Szarek był prekursorem wolontariatu. Znane są opowieści o tym, jak podczas stanu wojennego Janusz Piepiora, Adam Peczeniuk i Ryszard Dwornik organizowali i dowozili zaopatrzenie dla pracowników ośrodka, gdyż w sklepach były wtedy długie kolejki i puste półki. Peczeniuk wycinał także toporem chaszcze i młodniki, aby umożliwić letnikom dostęp do Jeziora Łagowskiego.

Warunki w schronisku były spartańskie. Mimo że mieszkaliśmy w drewnianych domkach, mycie i pranie robiliśmy pod pompą, kąpiele w jeziorze, a toaletę w wychodku. Panował tu swoisty mikroklimat, który pozwalał zapomnieć o chorobach przez cały rok. W późniejszych latach doprowadzono na półwysp kanalizację, ale wcześniej – kierownik musiał pilnować, aby wszyscy mieszkańcy schroniska korzystali z mocno chlorowanej „kabin szczęścia”, a nie z alternatywnych rozwiązań. Kierownik dbał



**Obóz karate – lato 1993. Przed domkiem kierownika siedzą od lewej: P. Piepiora, Z. Szarek, Z. Piepiora, J. Piepiora.
Fot. z archiwum Z. Piepiory**



Zbigniew Szarek – Honorowy Obywatel Świebodzina

wyłączał prąd punktualnie o godz. 22 w myśl zasady, że noc jest od spania. Udało mi się ominąć tę niedogodność, kupując przed jednym z obozów karate, na targu u Rosjan, „prześciówkę” z gniazdka żarówki na gniazdko kontaktowe. Kierownik potrafił także znaleźć nocleg dla gości, nawet gdy nie miał już wolnych miejsc i jeśli miała to być „gleba” na pomoście. A gości miał z różnych stron kraju i świata. Do schroniska przyjeżdżały wycieczki, obozy i osoby prywatne. Gościli tu m.in. Duńczycy, Niemcy, Francuzi, Holendrzy, Wielkopolanie, Dolno- i Górnoślązacy czy Król Romów ze świtą. Osobom goszczącym w jego schronisku Zbigniew Szarek lubił nadawać pseudonimy. I tak, jeden z wychowawców jednego z obozów z Wielkopolski był nazywany „Piżmakiem”, jeden z profesorów – „Mały”, jedna z lokatorek jednego z domków „Śpiąca Królowna”, a jeden z Holendrów – „Kukuru”, po tym jak okazało się, że nie wiedział, jak po polsku jest „kurczak” i zamawiając kurczaka smażonego z różną zaczął pisać w polskim barze.

Najbardziej jednak w pamięć zapadły mi wycieczki ze Zbigniewem Szarkiem. Dzięki niemu zwiedziłem Muzeum Nietoperek i średniowieczną fortecę w Międzyrzeczu, Międzyrzecki Rejon Umocniony, Zamek Joannitów w Łagowie Lubuskim, Klasztor w Paradyżu czy Świebodzin. Podczas wycieczek opowiadał historię Leona Pineckiego, który był jednym z czołowych zapaśników dwudziestolecia międzywojennego, wielokrotnym mistrzem świata i Europy. Znany zapaśnik nigdy nie wyparł się polskich korzeni, co nie podobało się hitlerowskim władzom. Leon Pinecki przeżył bombardowanie Berlina, wygrzebując się spod ruin kamienicy. Wcześniej, mieszkając w jednym z hoteli w tym mieście, wyniósł śpiącego delikwenta z łóżkiem, który pomylił pokoje hotelowe i zasnął pijany...

W 1997 r., po 39. latach pracy, zwolniono Zbigniewa Szarka z funkcji kierownika SSM PTSM na Półwyspie. Nie pozwolono mu doczekać 40-lecia pracy zawodowej w tym obiekcie. Była to straszliwa ironia losu, o czym często on wspominał. Nie mógł tego przeboleć, gdyż za swoją pracę otrzymał wiele odznaczeń i wyróżnień. Przykładowo, w 1981 r. przyznano mu nagrodę I stopnia Ministra Oświaty i Wychowania za wybitne osiągnięcia w pracy dydaktycznej i wychowawczej. Po zakończeniu pełnienia tej funkcji Szarek dalej odwiedzał schronisko, służąc radami i pomocą swoim następcom. A ich w ciągu kilkunastu lat było wielu i żaden z nich nie potrafił stworzyć takiego klimatu jak nasz bohater. W tym czasie zaczął zamieszkiwać w jednym z domków w pobliżu schroniska. Załamał się w 2013 r. Na Wielkanoc ub. r. przysłał mi kartkę pocztową, w której napisał, że schronisko na półwyspie zostało zlikwidowane i sprzedane.

Zbigniew Szarek zmarł 6.05.2013 r., w wieku 84 lat – niedługo po wyjściu ze szpitala. Po przebytej ciężkiej chorobie po prostu zasnął.

także o to, aby mieszkańcy zachowywali porządek. Pomagał mu w tym jego pies Franek. Podczas obchodów schroniska Z. Szarek akcentował konieczność zachowania ładu wokół domków. Pamiętne także były częste inspekcje w domkach, w czasie których zwracał on uwagę lokatorom na panujący u nich (nie)porządek. Szef, w uzgodnieniu z kierownikiem obozu, pozwalał także osobom, które zasypiały na zaprawę poranną, a nawet na treningi (zdarzali się też tacy!), odpracowywać nieobecności przez pomoc w zmiataniu liści i innych porządkach w obiekcie.

Pamiętne były także nocne „zaniki” prądu. Kierownik

Zbigniew Piepiora

Inne spojrzenie na książkę o Tadeuszu Steciu

Z pewnością nie zajmowałbym się po raz kolejny Tadeuszem Steciem, gdyby nie znakomity mój przyjaciel Krzysztof R. Mazurski, który w styczniowym numerze NS popełnił aż dwa opracowania o Steciu, z których drugie: *Steć - jaki był*, zamieścił w dziale „Recenzje, nowości”. Przeczytałem tekst kilka razy i ze zdumieniem stwierdziłem, że autor zrecenzował przez pomyłkę Stecia zamiast książkę o Steciu. Dlatego wyręczam Go w tym niedopatrzaniu.

Książka Stanisława J. Jawora jest opowiadaniem sąsiada, przewodnika i kolegi T. Stecia z jeleniogórskiego Koła Przewodników (dawniej PTTK). Nie ma nic wspólnego z biografią T. Stecia. Co prawda, to Steć jest jej bohaterem i narracja autora przedstawia go od kołyski aż po grób. Jednak biografia musi spełniać ściśle określone zasady, gdy forma opowiadania zależy wyłącznie od opowiadającego. Dlatego autora można rozgrzeszać tylko z treści jego opowiadania. Każdy czytelnik tej książki zauważy bez trudu, że autor skupił się wyłącznie na dewiacjach seksualnych Stecia, którym to ekscesom poświęcił większą część opracowania. Trudno zaprzeczyć, iż jego bohater oprócz „obrabiania chłopaczków” robił jednak w życiu wiele ciekawych i pożytecznych rzeczy, o których tylko wspomniano, ale bez rozwinięcia tematu. Również przy omawianiu cech charakteru Stecia akcent został położony na te mało chwalebne i ujemne. Czy mamy w takim razie przyjąć, że Steć był jednowymiarowym człowiekiem i świat widział wyłącznie przez chłopięce majtki? To już nieuczciwe uproszczenie. Można założyć, że praca ta jest odwrotnością klasycznej PTTK-owskiej biografii, gdzie działacza zawsze przedstawiano pozytywnie, wynosząc pod niebiosa jego wymaginowane zasługi i tylko półgębkiem wspominając ewentualne wady. Steć miał pecha, że w wolnej Polsce przeżył niecałe cztery lata i trafił na „przyjaciela”, który go później namalował po swojemu. Tutaj muszę wyjaśnić, że nie wierzę w głęboką przyjaźń milicjanta i TW. Oczywiście mówimy o przyjaźni, która nie była sponsorowana przez „Suchą Balbinę”, jak to ładnie ujął Waldemar Łysiak. Poza tym, mając kiedyś do czynienia ze Steciem mogę zapewnić, że był mistrzem mistyfikacji i podpuszczania. Autor z zawodową dokładnością zarzuca nas „papierami na Stecia”, wprawiając czytelnika w osłupienie cytowaniem prywatnych listów. Z drugiej strony, ujawnia wszystko, co było możliwe do ujawnienia. Tak więc, jest to prawda nie tyle absolutna, co raczej „na dzisiaj”. Pamiętajmy, iż co ważniejsze dokumenty poszły wyżej. Rozbawiła mnie sugestia, że wychowywanie chłopca przez (samotną) matkę może w przyszłości wpłynąć na jego orientację seksualną! A co z genami? Najbardziej ubodło mnie, że S. J. Jawor kompletnie nie ustosunkował się do bogatego dorobku Stecia. Zamieszczenie wykazu jego prac pióra Ivo Łaborewicza to nie wszystko! Czytelnikowi niewiele to powie, poza tymi, którzy wiedzą, o co chodzi. Książka nie odpowiada na pytanie, co właściwie tak ważnego było w twórczości Stecia, że ponad dwadzieścia lat po śmierci jego przewodniki i opracowania znikają jak kamfora z nielicznych antykwariatów i księgarni internetowych. Ogromną rolę spełnił również Ośrodek Wiedzy TWP w Bolkowie, którego Steć był kierownikiem. Wyleciał z pracy, kiedy Warszawa dowiedziała się o jego ekscesach. O roli tego ośrodka powiedziano niewiele i w tonie niepoważnym. Tymczasem przez ten ośrodek przeszli nie tylko ówczesni robotnicy, ale i współcześni profesorowie. Autor zapomniał chyba, że człowieka ocenia się nie tylko za to, jak przeżył swoje życie, ale przede wszystkim za to, co nam po sobie pozostawił. Niedawno Marcin Wolski napisał w „Do Rzeczy” (nr 4/052) o twórcach: *Gdyby tak lustrować wszystkich, któż by się ostał? Villon – złodziej, Genet – bandyta, Kraszewski – szpieg, Hamsun – nazista, Broniewski – stalinowiec, Ezra Pound – faszysta, Oscar Wilde – efebofil, Dumas – dziwkarz, Dostojewski – hazardzista... Oczywiście twórcy, tak jak wszyscy obywatele, podlegają ocenom moralnym, ale na bieżąco, za życia! Później pozostaje twórczość, która broni się albo nie, a życiowe perypetie pozwalają co najwyżej na zrozumienie kontekstów. Czy S. J. Jawor te konteksty rozumiał? Obawiam się, że wątpię... Za dwadzieścia lat nie będzie już istotne, że Steć był znanym gejem i marnym donosicielem, ale nasze wnuki w dalszym ciągu będą rozczytywały się w przewodnikach i opracowaniach Stecia. Klasyka nie przemija nigdy! T. Steć w życiu doczesnym okazał się wróblem, ale jako przewodnik, twórca i krajoznawca był orłem przednim. I tego właśnie życzę p. S. J. Jaworowi, którego pochopnie i nieodpowiedzialnie H. Piecuch, już dzisiaj, zrównuje ze Steciem.*

Stanisław Jan Jawor: *Legenda Sudetów Tadeusz Steć życie i śmierć 1925-1993*. Agencja Wydawnicza „Cinderella Books” Warszawa 2013.

Jerzy K. Bienkowski

Spojrzenie na spojrzenie

Z gadzam się z Panem, że prof. K. Mazurski jest wybitnym (*jak to się obecnie mówi*) regionalistą dolnośląskim. A ponieważ Profesor znał osobiście Tadeusza Stecia, Jego uwagi o mojej pracy przyjąłem z pokorą. Natomiast Pana recenzja sprawiła mi przykrość. Ale ma Pan rację pisząc, że moja opowieść o życiu i działalności „Przewodnika Przewodników” jest opowiadaniem „sąsiada, przewodnika i kolegi”.

Przyznaję, że Pana recenzja sprawiła mi przykrość. Na szczęście niewielką, bo krytykując mnie prawie za każde słowo popełnił Pan dwie nieścisłości:

1. pisząc, że „rozbawiła Pana sugestią o wychowaniu chłopca przez samotną matkę” zdradza się Pan z nieznamościami prac Zygmunta Freuda. Nie będę Panu robił wykładu z psychologii rozwojowej, bo moja odpowiedź musi się zmieścić na jednej stronie maszynopisu, ale zapewniam, że jest mi znana zarówno rola genów, jak i środowiska na kształtowanie człowieka.
2. W Ośrodku w Bolkowie nie było żadnych ekscesów, które doprowadziłyby do zwolnienia Stecia z funkcji kierownika. Po prostu: zmieniła się koncepcja propagowania wiedzy o Śląsku i Ośrodek zlikwidowano.

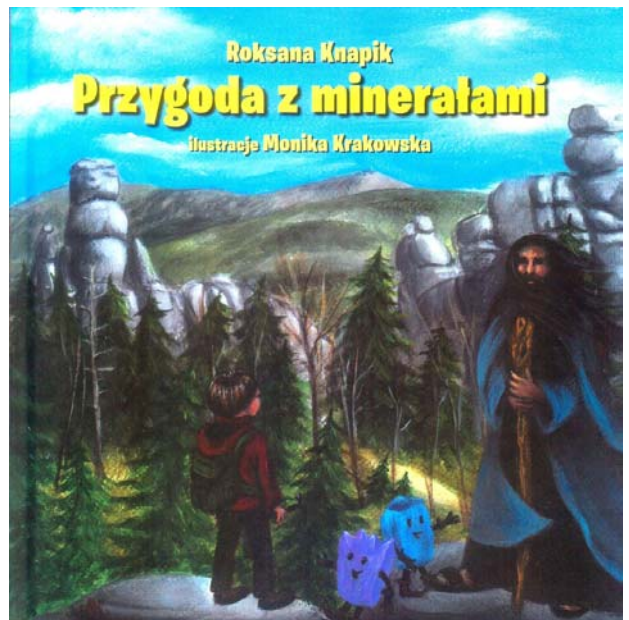
Co zaś do patrzenia T. Stecia na świat – jak to Pan napisał: „przez chłopięce majtki”, to polecam Panu „Pamiętnik” Jarosława Iwaszkiewicza, z opisem wizyty w mieszkaniu na Orlej 3. Kończąc, pozwalam sobie zasugerować, że nikt lepiej nie oceni osoby T. Stecia jak pewien niemiecki Ślązak, potomek jednego z najstarszych rodów szlacheckich, który pod zrobionym przez siebie szkicem postaci „Przewodnika – Przewodników” napisał: „najlepszy znawca Dolnego Śląska ze Lwowa”.

Stanisław Jan Jawor

Mineralogia dla dzieci

U czyć warto i trzeba od dziecka.. Niby to powszechnie wiadomo, ale często zapominane w codziennej praktyce. Szczególnie widać to na przykładzie geologii, którą w ogóle uznaje się za zbyt trudną nawet dla dorosłych, stąd najchętniej pomijaną we wszelkich działaniach edukacyjno-popularyzatorskich. A tu nowa moda w turystyce: geoturystyka! Akurat zbiegło się to z nadaniem w 2010 r. Karkonoskiemu Parkowi Narodowemu certyfikatu geoparku w uznaniu i dla podkreślenia zasług w pielęgnowaniu i popularyzowaniu unikatowego bogactwa Karkonoszy, jakim jest jego budowa geologiczna.

Mogło się dzięki temu ukazać sporo nowych wydawnictw parkowych z tego zakresu. Nową i na wskroś oryginalną pozycją jest kolorowa książeczka, opublikowana na obchodzone w styczniu 2014 r. 55-lecie powołania tego Parku. Jej autorka, mająca w dorobku kilka już wartościowych prac o geologii Karkonoszy, napisała tym razem opowiadanie, wprowadzające nieco starsze dzieci – a więc z zasobem ich słownictwa i stopnia rozumienia, w atrakcyjny świat tutejszych skał. Sympatyczne, wielobarwne rysunki uatrakcyjniają odbiór i silniej przyciągają młodego czytelnika. Dobry papier, twarda okładka to dodatkowe walory edytorskie. To bardzo dobry krok, należy się Autorce i wydawcy duże uznanie. Oby tylko rzecz była szeroko dostępna!



Roksana Knapik: *Przygoda z minerałami*. Ilustr. Monika Krakowska. Jelenia Góra: Karkonoski Park Narodowy 2013, 40 s.

Krzysztof R. Mazurski

Jeleniogórski krajobraz

W związku z VI Kongresem Krajoznawstwa Polskiego (Olsztyn 2010) ówczesny przewodniczący Komisji Krajoznawczej ZG PTTK Józef Partyka rzucił myśl przeprowadzenia seminariów i podobnych spotkań pod hasłem „Mijające krajobrazy Polski”. Jedno z nich pod tytułem „Dolnośląski krajobraz kalejdoskopem jest” zorganizowano we Wrocławiu w 2012 r. Szczególną aktywność wykazał jednak członek wymienionej Komisji, obecnie jej wiceprzewodniczący, Krzysztof Tęcza z Jeleniej Góry. Do tej pory ma on na swoim koncie aż sześć takich seminariów. Niektóre z nich otrzymały własne wydawnictwa, co znacznie podnosi rangę imprezy, utrwalając prezentowaną wiedzę, która w ten sposób ma szansę dotrzeć do zwiększonego grona zainteresowanych i przedłużyć niejako byt spotkania w czasie.

Tak stało się z zeszłorocznym spotkaniem w Jeleniej Górze, uwiecznionym w niedużej, ale ciekawie i kolorowo ilustrowanej broszurce, która zawiera osiem referatów. Kilka z nich dotyczy historii i przemian w komunikacji aglomeracji jeleniogórskiej. Przedstawiono stosunkowo mało znany, a jakże atrakcyjny Borowy Jar i kopalnię św. Jana w Krobicy, mającą szansę stać się kolejną atrakcją regionu. Jest też i o „nowoodkrytych” freskach w Muzeum Przyrodniczym i związkach powodzi z przemianami krajobrazu.

Wydawnictwo na pewno nie jest łatwe do zdobycia, ale warto o nim wiedzieć i szukać w różnych bibliotekach czy innych placówkach, jak choćby regionalnych pracowniach krajoznawczych PTTK. To smaczny kąsek wiedzy regionalnej.

Mijające krajobrazy Polski. Ziemia jeleniogórska. Red. K. Tęcza. Jelenia Góra: (Wyd. Poligrafia AD REM) 2013, 40 s.

K.R.M.

Greckie dzieci w Polsce

Znakomity znawca greckiej społeczności w Polsce, krajoznawca, regionalista i działacz PTTK, opublikował pod koniec ub. r. niewielką, ale jakże pożyteczną książeczkę dotyczącą tematyki ujętej w tytule. Mało kto wie w naszym kraju, że w wyniku wojny domowej w Grecji kraje obozu moskiewskiego przyjęły wielką rzeszę politycznych emigrantów oraz dzieci. Tych ostatnich tylko do Polski do 1950 r. przybyło 3100, potem jeszcze 725. Stworzono im komfortowe – w porównaniu do ojczystych, warunki bytowe i edukacyjne, acz ośrodki pobytowe, ulokowane głównie na terenie obecnego woj. dolnośląskiego (Lądek-Zdrój, Szczawno-Zdrój, Międzygórze, Bardo, Płakowice), prowadzone były w ścisłej tajemnicy.

Autor, na podstawie własnej, wieloletniej autopsji i kontaktów ze środowiskiem Greków i Macedończyków w Polsce, oraz archiwaliów i rozlicznych ankiet, przedstawił ofiarność polskiego społeczeństwa i trudności, z jakimi zetknęli się polscy wychowawcy i pedagodzy. Ich trud nie poszedł jednak na marne, o czym świadczą wiele nazwisk osób, które wybrały Polskę jako swój kraj, wzbogacając znakomicie jego kulturę i naukę. Wystarczy wymienić tu choćby prof. Kolę Simiczijewa z UW, śpiewaka Paulosa Raptisa czy poetę Telemacha Pilitsidisa, nie wspominając rzeszy urodzonych już w nowej ojczyźnie. Świadczą o tym długie listy i biogramy wyróżniających się wykształceniem lub karierą osób. Taka jest polska mozaika...

Dobrze by było, by ta interesująca praca, operująca licznymi konkretnymi faktami i liczbowymi danymi, została przetłumaczona na grecki i dotarła do Grecji, by i tam wniosła wkład do naszych wzajemnych kontaktów kulturowych.

Mieczysław Wojecki: *Pobyt i kształcenie dzieci uchodźców politycznych z Grecji w Państwowych ośrodkach wychowawczych w Polsce po II wojnie światowej.* Zielona Góra 2013, 67 s. Nakład własny autora. ISBN 978-83-63640-08-8.

Krzysztof R. Mazurski

Sudeckie schroniska

Sudety, choć to w nich narodziła się polska turystyka górską, którą można by na owe czasy (przełom XVIII/XIX w.) określić jako powszechną (żeby nie deprecjonować jej słowem *masowa*), są nadal w skali krajowej niedoceniane. Ciągłe postrzegane są przez Polaków, nieświadomie na ogół, jako „nie nasze” góry. Stąd z dużym uznaniem przyjmuje się w kręgu krajoznawców i miłośników historii turystyki pozycje traktujące to pograniczne pasmo z tych właśnie pozycji. Za pisanie wzięli się niedawnymi laty zawodowcy, jak Jacek Suchodolski, Tomasz Przerwa czy Marcin Dziedzic, i amatorzy, jak – nie przymierzając, niżej podpisany i wielu innych. Do tych ostatnich należy autor przedstawianej pozycji, pochodzący z południowo-wschodnich obrzeży katowickiej konglomeracji. Co sprawiło, że autor kilkunastu pozycji dotyczących tego obszaru, publicysta regionalistyczny, przewodnik i pilot, wziął się za tematykę sudecką? Ano „za młodu” przebywał w Przesiece, poznał Tadeusza Stecia i zauroczył się Sudetami.

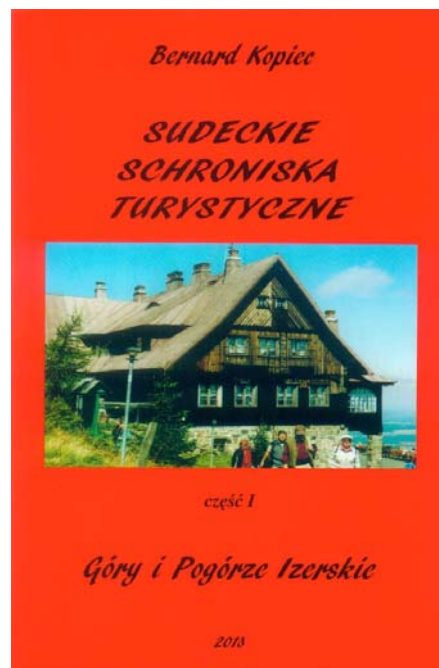
Z zauroczenia powstała koncepcja chyba dłuższej serii (skoro pierwsza pozycja ma w podtytule Część I) o schroniskach. Trzeba przyznać, że autor zaczął od mało wdzięcznego regionu, który niespecjalnie cieszy się zainteresowaniem turystów-krajoznawców. Zdziwienie budzi fakt, iż przed 1945 r. było tu tyle obiektów turystycznych – fakt, że wiele z nich w Szklarskiej Porębie. Większość już nie istnieje lub służy innym celom. W rzeczywistości jest to więc rodzaj pomnika, bowiem nowych obiektów jest mniej niż by kot napłakał. Wskazuje też na to wykorzystanie niemal wyłącznie starych ilustracji z rodzinnej, jak zaznaczono, kolekcji – i to niepełnej. Informacje tekstowe (szkoda, że brakuje mapki rozmieszczenia schronisk) są bardzo umiarkowane, bazujące na bliżej nieznanym źródłach – poza książką Jacka Suchodolskiego o architekturze, i *Słowniku geografii turystycznej Sudetów*. Bibliografia ma być zamieszczona w ostatnim tomie: będzie ich pięć części – czy i kiedy wyjdą wszystkie? Przy okazji: część druga to „Karkonosze, Lasocki Grzbiet”. Otóż jest to jeden region!

Książeczka jest redakcyjnie słabo opracowana: dużo literówek (w tym przekręcanie - baude na - baudy), niedopuszczalne błędy nazewnicze, np. powinno być Świeradów-Zdrój, a nie tylko Świeradów, brakuje indeksu obiektów. Zabrakło schroniska młodzieżowego w Rajsku, a takie też częściowo uwzględniano. Rzecz została wydana na kredowym papierze. Ale jeżeli już, to można było choć kilka reprodukcji podać w kolorze.

W sumie rzecz bardziej hobbistyczna i amatorska niż fundamentalna, choć nie można jej odmówić pewnych walorów popularyzatorskich i dokumentacyjnych. Z tych ostatnich warty jest dość obszerny opis spotkania Stecia.

Bernard Kopiec: *Sudeckie schroniska turystyczne. część pierwsza Góry i Pogórze Izerskie. Opracował źródłowo...* (Sosnowiec: Goldpress s.c.) 2013, 86 s. Nakładem autora.

Krzysztof R. Mazurski



NA SZLAKU - magazyn turystyczno-krajoznawczy

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego wydawane przez Oddział Wrocławski PTTK od 1987 r.
Magazyn odznaczony "Złotą Honorową Odznaką PTTK" w 2002 r. oraz Odznaką Honorową "Za Zasługi dla Turystyki" przyznaną przez Ministerstwo Sportu i Turystyki w 2012 r.



Adres Redakcji:
Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław

Redaktor Naczelny: **Krzysztof R. Mazurski**

Sekretarz Redakcji: **Andrzej Rumiński**

Z-ca Sekretarza: **Alicja Jachimowicz**

Redakcja techniczna: **Piotr Dacko**

Zespół Redakcyjny: **Wojciech Radliński**

Webmaster: **Paweł Rumiński**

Stale współpracują: **Henryk Paciej, Juliusz Wystouch**



Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca i nie stosuje honorariów za opublikowane.

Redakcja zastrzega sobie prawo adyustacji tekstów, przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej.

Przedruki tylko za podaniem źródła.

Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu i reklam wewnątrz numerów na odrębnie uzgodnionych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

ISSN 1230-9931